

# ECHO ZŁOTORYI

Nr 3 (179) 2022

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja



Cena: tylko 3 zł

ISSN 1897-4023

## Wstydę się

W sklepach od jakiegoś czasu wszystko przypomina, że nadchodzi Wielkanoc: czekoladowe jajeczki, zajaczkę, marcepany, chrzany z ćwikłą, a ja się zastanawiam, czy wypada poddać się tej wielkanocno – wiosennej euforii, gdy za wschodnią granicą trwa wojna. Zastanawiam się, czy wypada się bawić, pić kawę w kawiarni, spotykać z przyjaciółmi, jechać na weekend w góry lub nad morze. Siedzę przed telewizorem, oglądam dramatyczne relacje z burzonych miast, pełne desperacji wołania o pomoc i za chwilę przełączam kanał, bo właśnie będzie mój ulubiony serial. A potem łapię się na tym, że mi wstyd, że jestem mimo wszystko szczęśliwa, bo jeszcze nie zburzono mi domu, nie zabrano Męża na front, bo mam pełną lodówkę, wodę w kranie... Dokładnie tak – wstydę się, że żyję tak jak przed tą wojną, choć jestem podszyta strachem i coraz częściej śnią mi się koszmary.

I nie wiem, jak w tym wszystkim się odnaleźć? Ale przecież nie mogę usiąść i płakać, bo życie się toczy jakimś tam rytmem. Nie umiem zatrzymać wojny, cofnąć czasu, przywrócić zabitym życia. Mogę tylko łagodzić skutki tego dramatu, wspierając, tak jak umiem i na ile pomagają mi środki oraz siły, emigrujących z kraju Ukraińców. Próbuję odnaleźć się w działaniu, bo prawdą jest, że jak się zajmie ręce, to się mniej myśli.

A myśli mogą nas zaprowadzić w niebezpieczne rejony. Ostatnio ci, co mniej działają, a więcej myślą, wymyślili i myśli kolportują, że uchodźcy nam zagrażają, bo zabiorą pracę, przestrzeń i zasiłki. Najlepiej, żeby wracali do domu albo pojechali sobie dalej, bo Polska jest dla Polaków. To Polak ma żyć z zasiłku, a nie jakiś uciekający przed wojną Ukrainiec. Pomijam tu fakt, że ten Polak, znając dobrze rodzimy język i realia swojego kraju, bez problemu mógłby znaleźć pracę. Pomijam fakt, że kilka dekad temu, to Polacy byli beneficjentami socjału w krajach Zachodu. Pomijam również fakt, że jako katolicy powinniśmy być samarytaninami i dzielić się z bliźnim w potrzebie. Nie mogę pominąć jednego – jako ludzie jesteśmy zobowiązani do ludzkich odruchów. Wiem, że zdolność empatii nie jest dana każdemu, ale większość z nas ma przynajmniej wyobraźnię. Zatem wyobraź sobie, że masz godzinę na spakowanie swojego dobytku i ucieczkę przed bombami. Co bierzesz? Kota, leki, ubrania? Masz jedną walizkę, która i tak być może nie zmieści się do pociągu? Wyobraź sobie, że być może nie wrócisz już do swojego przytulnego mieszkania czy domu, a latami gromadzone dobra za chwilę wojna roznieśie w pył, wyobraź sobie, że twoja firma już nie wypłaci ci pensji. Wyobraź sobie, że nie znasz miejsca, które stanie się twoim azylem. Wyobraź to sobie, bo może być tak, że stanie się to faktem. I co wtedy?

„...kto ci powiedział, że wolno ci się przyzwyczajać? / kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze? / czy nikt ci nie powiedział, że nie będziesz nigdy / w świecie czuł się jak u siebie w domu?”

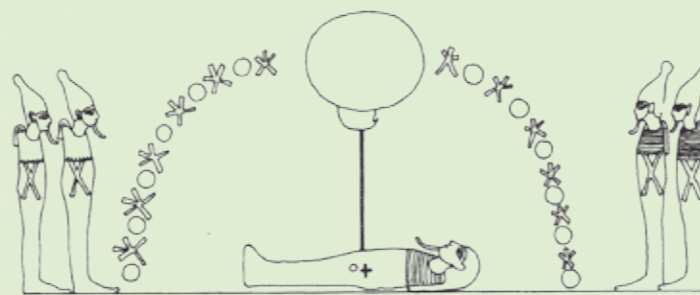
 Iwona Pawłowska



## Piramidy to wiara, nie groby

Wiedza wyniesiona ze szkoły każe nam sądzić, że egipskie piramidy to wielkie grobowce. Tym większe, im większe było ego faraona. Tę teorię da się obronić jeśli przyjmujemy, że piramida to taki większy kurhan, tyle że z kamienia. Trzeba było wykrzesać z siebie dużo uporów, by zmierzyć się z tak mocno utartym schematem. W poprzednim numerze anonsowaliśmy czytelnikom książkę autorstwa Krzysztofa Brysia „Studium wielkiej piramidy”. Autor, złotoryjanin, jest inżynierem budownictwa, który od lat zgłębia egipskie tajemnice. Wnioski jakie wyciąga nie zawsze są zgodne z tymi, które powielane są od pokoleń przez mniej dociekliwych badaczy. W bieżącym numerze oddajemy głos autorowi.

Piramidy to wiara, nie groby. Przez analogię można zapytać, czy kościół jest grobem? Czy bazylika św. Piotra jest grobem? Możemy użyć takiego określenia, że piramida to obudowa wiary Egipcjan, służąca faraonowi do przejścia w zaświaty. Dawała mu pewność, ponieważ wiedział, że wszystko co jest potrzebne do życia wiecznego jest dla niego przygotowane. Było to zdecydowanie ważniejsze od grobowca, w którym złożono jego ciało. Tak więc piramidy nie były grobowcami. Nie było nawet możliwości złożenia w nich ciała. Wszystkie przejścia były zamknięte już w trakcie budowy. Nawet „zatyczki” mia-



Ożywienie mumii z Księgi Ziemi

ły znaczenie symboliczne. Chroniły przed duchami i tylko przed nimi. W żadnym razie przed ludźmi. Przede wszystkim chodziło o to, żeby nie wszedł tam na przykład zmarły wróg. W piramidzie Cheopsa są dwie komnaty, gdyż tam miała się spotkać dusza Ka i Ba. Używając znanych nam określeń najprościej będzie powiedzieć, że było to odrodzenie i dokonywało się każdego dnia wraz z odrodzeniem się Słońca. W tym momencie Cheops stawał

się Ozyrysem, czyli bogiem. W wielkiej galerii, znajdowała się łódź przewożąca faraona w Zaświaty. Działała tu magia symbolu. Po tym akcie poprzedni Ozyrys był detronizowany, a rolę władcy Zaświatów przejmował aktualny. Tymczasem wielu badaczy ma do dziś problem z przyznaniem, że piramidy nie były grobowcami. Nawet wobec tak oczywistych dowodów, jak sarkofag, w którym nie ma śladów płądowania, a brak jest szczątków. A prawda jest taka, że sarkofag był „futeralem” dla duszy, czyli „Ka”. Ciało w tej kulturze miało drugorzędne znaczenie tak dalece, że do dziś nie znamy miejsca jego pochówku, ale jestem pewien, że kiedyś zostanie odnalezione i to w niedużej odległości od piramid. Przemawiają za tym względy praktyczne. Mimo znanej już w czasach Cheopsa sztuki balsamowania, panująca tam temperatura utrudnia transportowanie ciała na duże dystanse. Poza tym rejon Gizy był wielkim placem ciągłej budowy. Trudno wyobrazić sobie pogrzeb w takich okolicznościach. W najstarszych

dziejach wraz z Faraonem grzebano całą jego inwentarz, a także żony, służbę i dworzany. Na szczęście tych praktyk zaniechano, gdy stało się jasne, że niczemu one nie służą. Magia symboli przysłała tu z rozwiązaniem praktycznym. Wykonywano figurki wszystkich osób i stworzeń i je symbolicznie chowano wraz z faraonem. Jeszcze później wystarczył napis „Ja w mojej piramidzie” - ten chytry zabieg spowodował, że nie było już potrzeby budowania piramid. To teksty umarłych stały się piramidami. Pismo hieroglificzne również ewoluowało. Nawet ja jestem w stanie określić które znaki są starsze od innych. Pamięć trwała tak długo, jak długo przetrwały wykute w kamieniu hieroglify. Znanymi są przykłady precyzyjnego usuwania napisów dotyczących konkretnych osób i jestem przekonany, że były one zniszczone w niedługim czasie po ich śmierci.

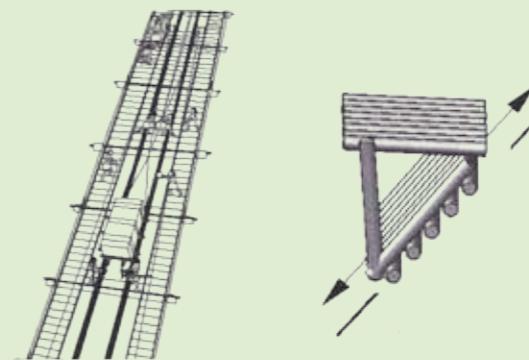
Często można przeczytać, że grobowce faraonów były okradane tuż po pochówku. Jest to o tyle nieprawdą, że w tamtych czasach nie było jeszcze złodziei. Nic co składano w piramidzie, nie miało wartości materialnej. Nawet gdyby potencjalny złodziej włamał się do komory i ukradł złoto, nie miałby go jak spieniężyć. Poza tym kradzież karano śmiercią, a po niej czekała złodzieja kolejna kara z rąk Ozyrysa. Obawiano się kradzieży, ale ze strony duchów i wszystkie zabezpieczenia temu służyły. Ponadto bano się najeźdźców z zewnątrz, bo ci byli doświadczeni w paleniu grobów, tak aby wszystkie złote

ozdoby stopiły się i w ten sposób pozyskiwano metal. Dopiero w czasach Nowego Państwa, kiedy Egipt był otwarty na świat, można było skradzione złoto sprzedać na przykład w Grecji.

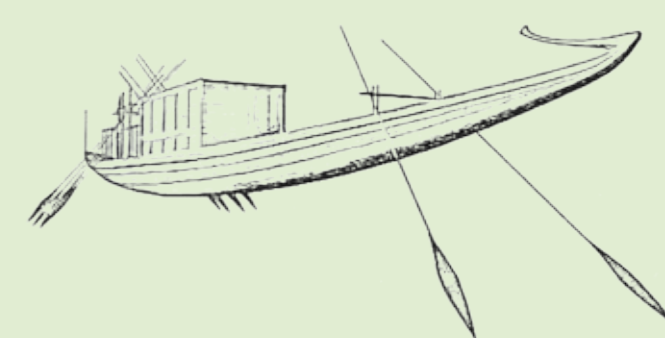
Jeśli chodzi o sam proces budowy to trzeba zrezygnować z poglądu, że kamienne bloki transportowano po wielkim nasypie. Owszem, do pewnej wysokości zapewne tak, ale w którymś momencie rampa miałaby większą kubaturę niż sama piramida i byłaby od niej po prostu większą budowlą, zapewne także kosztowniejszą. Kamienne bloki były zatem wciągane przy pomocy



drewnianej konstrukcji przypominającej tory, po których ciągnięto coś w rodzaju drewnianych sań. Największe elementy ważące kilkaset ton, które ostatecznie stanowią elementy głównych komnat, umieszczono w trakcie budowy już na najniższych kondygnacjach. Po zabudowaniu połowy kolejnego poziomu, wciągano je na niego i na drugiej połowie znów stworzono kolejne piętro. Jedynie w ten sposób można wytłumaczyć wyniesienie na tę wysokość bloków o masie kilkuset ton, których udźwignięcie byłoby trudne nawet przy użyciu współczesnych maszyn. Czas powstawania wielkiej piramidy Cheopsa jest według mnie bardzo zanizany. Przyjmuje się, że trwała ona około



Pochylnia i sanie transportowe



Barka Cheopsa

20 lat, to jest tyle ile trwało panowanie tego króla. Jest to założenie błędne, bo wówczas kamienne bloki musiałyby być kładzone w tempie 2 minut każdy. Nawet dziś budując dom bloczków z supereksu nie układa się ich w takim tempie. Stąd wniosek, że Cheops nie zaplanował budowy po swojej intronizacji, ale był to o wiele większy plan, który był dużo wcześniej rozpoczęty i dotyczył całego kompleksu. Jego ojciec Snofru wybudował obiekt, który wskazywał dokąd będzie po śmierci zmierzała jego dusza, był to gwiazdozbiór Byka. Dla swoich dzieci zaplanował podróż ku gwiazdozbiorowi Oriona i piramidę tak sytuowaną, by możliwe było dotarcie duszy właśnie w tamtę stronę. Według mnie transportowanie kamiennych bloków w budowlu było mniejszym problemem niż transport w okolice budowy, która znajdowała się na płaskowyżu o około 60 metrów wyżej. Moje możliwości zbadania

dowano. Niemniej współzawodnictwo jest naszą ludzką cechą. Wielkość miała jednak pewne znaczenie praktyczne, bo wiadomo było, że im obiekt większy, tym będzie trwalszy. Innym praktycznym argumentem był ten, że budowa dawała spokój w państwie. Kiedy kończyły się budowy, zaczynały się wojny. Należy spojrzeć na nie jak na roboty publiczne, które angażowały około 100 tysięcy ludzi. Uaktywniały handel z sąsiadami, bo do budowy potrzebne było drewno cedrowe, ale i miedź z której wytwarzano narzędzia. Powszechnie uważa się, że piramida miała gładki czubek, ewentualnie cała była wyłożona gładkim marmurem, ale gdy popatrzymy na piramidę Chefrena, gdzie czubek się zachował, to demontaż obłożenia nie został ukończony i dlatego widzimy całą strukturę piramidy. Przez tę rozbiórkę cała jest zmasakrowana. Jeśli porównamy te dwie budowle, to widzimy, że po piramidzie Chefrena spadały marmurowe elementy i obtłukiwały kamienny rdzeń. Na piramidzie Cheopsa nie ma natomiast ani jednego śladu, gdzie można by powiedzieć, że tu uderzył jakiś spadający kamień. Obłożenie piramidy gładkim marmurem nie było potrzebne do przejścia w zaświaty. Mykerinos z kolei zbudował piramidę granitową. Zastanawiałem się, dlaczego. Myślałem, że stało się tak, gdyż widział jak bardzo piasek i wiatr niszczą Sfinksa. Zapobiegł podobnej erozji budując swoją piramidę z twardszego budulca. Syn Cheopsa – Dżedefre także zbudował piramidę, którą obudował do pewnej wysokości granitem. I jeszcze jedna ważna kwestia: piramid nie budowali niewolnicy. Dziś ten mit umarł w obliczu badań naukowych, które dowodzą, że budowniczy piramid żyli w niezłe urządzonych osiedlach, i na pewno dobrze się odżywiali. Wśród budowniczych była bardzo duża specjalizacja zawodowa. Byli fachowcy od obróbki kamiennych bloków, inni od obróbki drewna. Inni od ostrzenia narzędzi a jeszcze inni zajmowali się dostarczaniem żywności.


Książka powstawała w czasie 20 lat. Kiedy zaczynałem, Internet dopiero raczkował. Strony miały ograniczoną pojemność. Tworzyłem hiperlinki do linków i w ten sposób stworzyłem chyba największą stronę internetową świata.

A wszystko zaczęło się od tego, że chciałem zbudować sobie z blachy model piramidy na biurko. Zastanawiałem się jakie wobec tego ma ona wymiary. Sięgnąłem po encyklopedię, ale na wszel-

ki wypadek zająłem do Internetu. Jak już wspominałem były to bardzo skromne początki tego medium. Sprawdziłem jeszcze w Księdze Rekordów Guinnessa. Wymiary różniły się o 3 metry. Spisałem wymiary z różnych źródeł, a było ich około dwudziestu, i okazało się, że nigdzie się nie powtarzają. Wydało mi się niewiarygodne, że nie można zmierzyć poprawnie największej budowli świata. Zrodziło to we mnie bunt. Czas w jakim rzekomo wzniesiono budowlę, mnie inżynierowi budownictwa także wydawał się niemożliwy. Doszedłem do wniosku, że Cheops jeszcze za życia ojca przygotowywał plany. Już w tym czasie mogły być dla niego przygotowywane bloki skalne i wszystkie operacje logistyczne. W Egipcie nie ma wiele drewna w stanie naturalnym, tak olbrzymie ilości trzeba było zgromadzić dużo wcześniej. Widzę tu analogię z dzisiejszą budowlą choćby domu. Budowa piramidy nie mogła być zatem kaprysem władcy, który rozpoczął ją po dojściu do władzy i nie wiedział jak długo będzie żył. Zapewne marzył o tym, żeby miejsce zgotowane specjalnie dla jego duszy było przygotowane w dniu jego śmierci, bo gdyby tak nie było, to teoretycznie jego dusza nie miałaby gdzie się odrodzić. Mnogość tych wątpliwości spowodowała, że byłem zmuszony uporządkować swoją wiedzę. A kiedy już do tego doszło uznałem, że mam dość dużo wniosków, które da się zaprezentować w postaci książki. To mimo wszystko odważne posunięcie, bo na ten temat powstało już około 2,5 miliona opracowań. Moim zamiarem nie było urażenie kogokolwiek, chcę tylko wskazać wiele nieścisłości, niejasności i nielogiczności i pokazać drugą, może jeszcze piękniejszą stronę tego medalu. Choć wydaje mi się czasem, że im wiem więcej, tym wiem mniej. Wiele konwencjonalnych teorii jest trudnych to pogodzenia z moimi. Czy mam rację? Sądzę, że tak, ale żeby było jasne. Ja nie rozwiązuję teorii piramid, bo tego się nie da zrobić. To swojego rodzaju węzeł gordyjski. Pokazuję tylko jedną z możliwych dróg do prawdy. Nie naginam piramid do swoich teorii. Interpretuję tylko to co natura zapisała na niebie, a ludzie na ziemi. Aby czytelnik mógł podążać za moim tokiem myślenia, musiałem zacząć od czasów prehistorycznych nawet z punktu widzenia Cheopsa i jemu współczesnych. Nie można bowiem tłumaczyć komuś czym jest matematyka zaczynając od objaśnienia czym są równania Schrödingera... Aby dojść do etapu tak skomplikowanych budowli jaki-

mi są piramidy musiałem zacząć od jam grzebalnych, wyjaśnić że Egipt nie powstał od razu z piramidami. Sam się przy tym uczyłem. Wspominałem, że miałem problem z ustaleniem wymiarów Wielkiej Piramidy Cheopsa, ale nie mniejszy kłopot miałem z chronologią. W literaturze zauważamy, że autorzy każdorazowo usiłując przybliżyć nam lata panowania poszczególnych królów Egiptu, uciekają się do podstępów pomijając jakiegoś faraona, albo twierdząc, że dwa różne imiona dotyczą tej samej postaci. Wszystko po to, by upchnąć wszystkich w ograniczonym czasie. Przy okazji studiowania tego zagadnienia, nabrałem wielkiego szacunku do Herodota, którego wielokrotnie w książce cytuję. Za interesowanie starożytnym Egiptemściągnęto za sobą zainteresowanie astronomią. Potrafiłem wstać o 1 w nocy, żeby obserwować gwiazdy. Nie chcę powiedzieć, że stało się to moją obsesją, ale gdy się dużo myśli na jakiś temat, to od czasu do czasu wpada się na genialną myśl, że to co ktoś na ten temat napisał jest niemożliwe. Za przykład niech posłuży zdanie, które gdzieś przeczytałem, że budowniczy inspirowali się wschodzącą i zachodzącą gwiazdą. Po namyśle uznałem, że to błędne założenie, bo na szerokości geograficznej na której położony jest Egipt nie obserwuje się zjawiska wschodzących i zachodzących gwiazd. Miałem ciekawą przegodę pisząc tę książkę, bo według mojej koncepcji kierunek w którym były zwrócone aleje procesyjne nie jest przypadkowy. W piramidzie Cheopsa wydaje się że powinna przebiegać prostopadle, a ona skręca zupełnie w bok. W piramidzie Chefrena nie przebiega w kierunku Sfinksa, ale obok, a Mykyleynosa zupełnie w inną stronę. Doszedłem do wniosku, że ma to związek z dniem pogrzebu pogrzebu, czyli odrodzeniem. Zwy-

czajem w Egipcie było, że syn grzebie ojca. Zapewne przygotowywał się do pogrzebu gromadząc materiał, ale jeszcze nie wiedział w którym dniu to nastąpi. Na wykonanie alei procesyjnej miał tyle czasu ile trwa balsamowanie zwłok, czyli około 90 dni. Mimo że nie było pochówku w piramidzie, to jednak był to symboliczny akt, w którym podróżowała dusza. Wobec tego wyznaczano miejsce wschodu słońca, które nastąpi za 90 dni i to traktowano jako odrodzenie. W owym dniu wraz ze słońcem szedł pochód aleją procesyjną. Przy Cheopsie osłupiałem, bo wyszło mi 18 maja. A jeszcze w liceum podawałem datę moich urodzin jako 18 maja, dopiero na studiach sprostowano mi ją na 19 maja. To tylko zbieg okoliczności, ale bardzo mnie zdziwił. Byłem jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym, który odkrył związek piramid z konstelacją Oriona. Później ten pomysł podchwycyło i ci którzy to zrobili uchodzą dziś za wielkich egiptologów. Moja droga do tego odkrycia była znacznie dłuższa i ciekawsza. Ponadto uważam, że na niebie powinniśmy również szukać wskazówek co do miejsca pochówku królów Egiptu. Osobnym tematem jest radosna twórczość egiptologów. Doskonale zdają sobie sprawę z tego, że moja książka nie będzie popularna, dlatego, że nie wnosi fantastycznych teorii, tylko jest próbą racjonalnego wytłumaczenia tego co widzimy. Nie ma w niej prób zbudowania sensacji na przykład o zaangażowaniu w budowę pozaziemskich cywilizacji. Ja pokazuję piramidy od kuchni, obnażając wiele mitów. Nie liczę na duży odzew, ale na to, że zostanie przeczytana ze zrozumieniem i umożliwi poznanie drugiej strony zagadki, jaką są piramidy.

 **Andrzej Wojciechowski**

*Z okazji  
Świąt Wielkanocnych  
składamy Wszystkim  
Czytelnikom  
i Sympatykom TMZZ  
najlepsze życzenia.  
Niech ten szczególny  
czas będzie dla wszystkich  
okresem zadumy,  
wyciszenia i nadziei na  
pokój i radość.*

*Zarząd TMZZ*



## List do redakcji

### Podwyżki władzy

My Naród

My mieszkańcy Ziemi Żłotoryjskiej

Czy obywatel może się ustosunkować do wynagrodzenia swojego Burmistrza?

Chciałbym pogratulować postawy i dobrze rozumianej oceny sytuacji Panom: wójtowi Janowi Tymczyszynowi, burmistrzom Robertowi Pawłowskiemu, Pawłowi Kisowskiemu i Sławomirowi Maciejczykowi.

Chcielibyśmy, aby nasi władarze zarabiali godziwie, aby zarabiali dużo. Ale bardziej jeszcze chcielibyśmy, aby kierowali naszymi miastami i gminami dobrze, aby mieli dokonania i Oni, i nasi radni – takie dokonania, które będziemy pamiętać w historii miasta czy powiatu, aby podwyżki się należały, aby nie budziły żadnych wątpliwości. W tych wszystkich dokonaniach, my naród, my mieszkańcy ziemi żłotoryjskiej będziemy w miarę naszych możliwości Was wspierać. I wtedy podwyżki będą oczywiste i bezdyskusyjne, i nie będą zależały tylko od przypadkowej większości w radzie miasta czy gminy.

A jeśli do tego władarze wykażą się skromnością i zrozumieniem dla gminnego budżetu – jak pan wójt Jan Tymczyszyn – to tylko pogratulować.

Bo jeśli nie ma dokonań to czy rzeczywiście potrzebny jest wójt czy burmistrz? Czy moralna, czy naturalna jest podwyżka?

I Starostwo też. Także za żłotoryjski szpital.

**Aleksander Borys**

**Aleksander Borys**

# Jestem sobie ogrodniczka



Aleja Miła w naszym mieście jest obsadzona lipami, bukami, dębami i klonami. Większość z nich to urokliwe, wysokie drzewa, dające wiele tlenu i bezsprzecznie piękne. Jednakowoż wysokie drzewa na bardzo wąskiej uliczce między dwoma wysokimi budynkami przy alei Miłej już nie są ani takie przyjazne, ani bezpieczne. Przede wszystkim zacinają grube, i tak już same z siebie wilgotne mury stuletnich kamienic, a ponadto w przypadku silnej wichury grożą przewróceniem się na budynki stojące zaledwie 6 - 10 metrów od tychże drzew.

\*

Pod koniec lutego w godzinach porannych przed moimi oknami zauważyłam specjalistyczny pojazd z podnośnikiem. Przy nim kręciło się kilku robotników w pomarańczowych kamizelkach. Rej wśród nich wodziła elegancko ubrana pani w gustownym kapelusiku na głowie.

Oho, pomyślałam, na pewno będą przycinać klon, który od kilku lat skutecznie przesłania mi słońce. Wybiegłam więc szybko na ulicę, aby upewnić się, czy służby miejskie przytną drzewo w sposób, o jaki wnioskowałam w piśmie do burmistrza miasta.

– Nie, nie! Tak nie przycinajcie! – dyrgowała pani w gustownym kapelusiku. – Zostawić dłuższe gałęzie! Na każdej gałązce mają zostać co najmniej dwa

pączki.

Przestraszyłam się, że klon nie zostanie przycięty i przez cały rok będzie zacięniał moje jedyne południowe okno. Postanowiłam interweniować i podeszłam do pracowników. Urzędniczka popatrzyła na mnie z irytacją. Odniosłam wrażenie, że bardzo jej przeszkadzam.

– Dzień dobry, nazywam się Agnieszka Młyńczak, mieszkam w tej kamienicy, ja w sprawie przycinki drzewa – przedstawiłam się kobiecie.

– O co chodzi? – zapytała, patrząc na mnie protekcyjnie, nie przedsta-

wiając się.

Przedstawiłam zwięźle sprawę przycinki drzewa i powołałam się na moją rozmowę z burmistrzem, który obiecał mi, że drzewo zostanie przycięte mocniej niż wynika to ze sztuki ogrodniczej.

Twarz pod kapelusikiem poczerwieniała z irytacji:

– Co takiego? Proszę pani, wiem, co mam robić! Ja jestem z wykształcenia ogrodnikiem! Wszystko zostanie wykonane zgodnie ze sztuką ogrodniczą!

– Tnijcie tak, jak powiedziałam! – zwróciła się do robotników.

Po czym pani, z wykształcenia ogrodnik czy też raczej ogrodniczka, odwróciła się do mnie plecami i udała się w stronę

Urzędu Miejskiego, unosząc swoje rozdęte ogrodnicze ego.

Po moim telefonie do burmistrza z prośbą o interwencję *urzędniczka-ogrodniczka* w niecałe dziesięć minut była z powrotem przy drzewie. Tym razem dawała polecenia robotnikom, aby jednak długie gałęzie przycinali mocniej. Było to niezgodne ze sztuką ogrodniczą, ale za to zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Rozdęte ego *urzędniczki-ogrodniczki* z sekundy na sekundę zmniejszało się, aby skurczyć się do poziomu zaledwie ogrodniczki. Anonimowej ogrodniczki, bowiem „zapomniała” się przedstawić.

\*

Drzewo tym razem zostało przycięte, ale klony rosną bardzo szybko i cała operacja będzie musiała być powtarzana co roku. Jest tak dlatego, że kilkanaście lat temu inna urzędniczka podjęła decyzję o posadzeniu klonów w odległości kilku metrów od dwóch wysokich budynków. Nie była, niestety, ogrodniczką.

Jest jednak pewna nadzieja.

Mianowicie zdarzają się co jakiś czasorkany, huragany i trąby powietrzne, które przewracają drzewa i wyrwywają je z korzeniami. Tak stało się z osiemdziesięcioletnią lipą, która rosła prawie w tym samym miejscu co rzeczony klon. Tę lipę właśnie kilkanaście lat temu – na moich oczach – huragan wyrwał z korzeniami i rzucił na przeciwległy budynek. Absolutnie niezgodnie ze sztuką ogrodniczą. Została zniszczona elewacja, wybite okna na drugim piętrze i zdruzgotane trzy samochody. Może tak stanie się z klonem? Już teraz jego pień jest obciążony pochylony przez zachodnie wiatry. Czekam zatem cierpliwie na porządną orkan, chociaż zwykłym huraganem też nie pogardzę.

Agnieszka Młyńczak

## Daj pan cegłę!



No i dał... Chciałem wam przedstawić przedmioty z serii "dobrzy ludzie dali". Na zdjęciach uwieczniłem dwie unikatowe cegły z przedwojennych złotoryjskich cegielni. W przedwojennym Goldbergu funkcjonowało kilka cegielni, jedna z nich, dość duża jak na owe czasy, mieściła się w okolicy dzisiejszego osiedla Podwa-  
le, pozostałości po cegielni widoczne są do dziś. Za szpitalem pozostała jedna "glinianka" (zielone oczko), z której wydobywano glinę do produkcji cegieł.

Jak widać, podczas prac remontowych można odnaleźć takie perełki, swoją drogą jestem ciekaw, ile jeszcze tego leży w ziemi lub jest wbudowane w nasze budynki!

Jeszcze raz serdecznie wam dziękuję, że udało się ocalić od zapomnienia takie „perełki”.

Przemysław Markiewicz



## Traktor za długi

Powojenna Złotoryja miała swoją gazownię. Była własnością miasta i wchodziła w skład zakładu komunalnego, którym kierował od lipca 1946 r. Aleksander Pawłowski.

Tam, gdzie dzisiaj jest Biedronka przy ul. Legnickiej, stały potężne zbiorniki, w których gromadzono wytwarzany na miejscu gaz z węgla. Węgiel zaś wożono furmankami ze stacji kolejowej. Aby sprostać zapotrzebowaniu na gaz, który używany był również do oświetlenia miasta specjalnymi latarniami, potrzeba było dużo węgla. Około roku 50. miasto zakupiło cią-

elektryczną i wodę, ale Rosjanie nie chcieli za to płacić miastu. Dlatego pewnego dnia odcięto dopływ prądu i wody i zamontowano liczniki. Energię i wodę szybko przywrócono, wystawiono jednak dosyć pokaźny rachunek za dotychczas zużyte media.

Wybuchła afera, a komendant miasta odgrażał się, że ustrzeli na ulicy kierownika komunalni. Sprawę jakoś załagodowano, a po kilku miesiącach z dowództwa w Legnicy przyszedł przelew za wystawiony rachunek. Przelew był na tyle pokaźny, że miasto nabyło ciągnik, którym od tej pory, zamiast furmankami, wożono węgiel do gazowni. Na pierwszym zdjęciu (1948?) pracownicy komunalni (elektrycy?) na terenie gazowni - pierwszy od lewej stoi prawdopodobnie kierownik A. Pawłowski. Na drugim zdjęciu ekipa gazowni z przypuszczalnie zakupionym ciągnikiem. Z tyłu wychyla się prawdopodobnie A. Pawłowski.

**Robert Pawłowski**  
Zdjęcia z archiwum  
Przemysława Markiewicza

## Kronika

**1.03.** rozpoczęła się rekrutacja dzieci do Żłobka Miejskiego w Złotoryi na rok szkolny 2022/2023.

**2.03.** Urząd Miejski rozpoczął rejestrację uchodźców z Ukrainy.

**3.03.** w Sudeckiej Zagrodzie Edukacyjnej odbyły się warsztaty poświęcone popularyzacji dziedzictwa geologicznego Krainy Wygastych Wulkanów oraz Czeskiego Raju.

**4 - 6.03.** Stowarzyszenie LGD "Partnerstwo Kaczawskie" promowało geopark Wygastych Wulkanów na Międzynarodowych Targach Turystyki i Czasu Wolnego we Wrocławiu.

**6.03.** zakończyły się konsultacje społeczne dotyczące utworzenia w naszym mieście centrum opieki dla seniorów i zdrowia mieszkańców.

**7.03.** w złotoryjskim ratuszu odbyło się kolejne spotkanie burmistrza z organizacjami pozarządowymi pomagającymi uchodźcom z Ukrainy.

**7.03.** w kinie „Aurum” wyświetlono dramat wojenny „U311 Czerkasy”. Dochód z biletów, zgodnie z życzeniem reżysera, przeznaczony został na wyposażenie armii ukraińskiej.

**8.03.** spadochroniarze z bazy lotniczej złotoryjskiej Jednostki Poszukiwawczo-Ratowniczej Baryt przeznaczili ponad sto kompletów kamizelek kuloodpornych na sprzętowe wsparcie działań obronnych na Ukrainie.

**8.03.** złotoryjanki zrzeszone w Polskim Związku Emerytów Rencistów i Inwalidów obchodziły w restauracji „Przy Miłej” Dzień Kobiet.

**13.03.** w Szkole Podstawowej nr 1 w Złotoryi, Stowarzyszenie Honorowych Dawców Krwi zorganizowało kolejną zbiórkę krwi.

**17.03.** Złotoryjski Ośrodek Kultury gościł grupę dzieci z Ukrainy na zajęciach plastycznych.

**18.03.** w Szkole Podstawowej nr 3 w Złotoryi zakwaterowano 20 ukraińskich uchodźców, w przeważającej części kobiet i dzieci.

**23.03.** złotoryjska policja ogłosiła konkurs pn. Nagraj Tik-Toka „Seniorze – nie daj się oszukać”.

**23.03.** w kinie „Aurum” odbyła się prezentacja raportu z diagnozy społecznej w ramach „Programu przeciwdziałania wykluczeniu społecznemu dzieci i młodzieży Robinsonowie”.

**24.03.** w sali widowiskowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury odbyło się spotkanie zorganizowane przez Urząd Miejski dotyczące m.in. tego na jakie wsparcie mogą liczyć Ukraińcy.

Opracował Jarosław Jařta

# Prosto z kranu



Czy będąc gdzieś na wczasach nad morzem, w górach lub po prostu odwiedzając dzieci we Wrocławiu, zdarzyło się wam pić herbatę o wyraźnym posmaku wody z basenu? Bo mnie tak. Ten posmak to chlor, a właściwie podchloryn sodu wykorzystywany w procesie uzdatniania wody. Używają go niektóre lokalne zakłady wodociągowe, które dostarczają wodę mieszkańcom. Pod tym względem Złotoryja wyróżnia się na tle innych miast. Herbatą zaparowaną w Złotoryi można się delektować. To oczywiście przede wszystkim zastęga wody, jaka leci ze złotoryjskich kranów. Skąd zakłady wodociągowe biorą wodę, która po odkręceniu kurka zapełnia nam wanny lub tryska perliście z prysznicą, wesoło grzechocząc turbinkami wodomierza? Otóż są dwa główne źródła: wody głębinowe oraz powierzchniowe. Czy można pić wodę z rzeki? No, moż-

na. Na przykład Legnica pije z Kaczawy. Ale taką wodę trzeba uzdatnić. Musi być ona całkowicie wolna od szkodliwych mikroorganizmów, charakteryzować się właściwym stanem fizycznym i nie posiadać przekroczeń związków chemicznych. Ale nawet po oczyszczeniu, prze-filtrowaniu i chlorowaniu (pozbyciu się mikrobów i bakterii) nie zaleca się pić takiej wody w stanie surowym. Inaczej ma się rzecz z wodą złotoryjską. Czerpiemy ją z czterech studni w Jerzmanicach Zdroju z głębokości nawet 120 metrów. Spokojnie czeka na wydoby-cie na swoim kredowym piętrze wodonośnym, ocierając się o spękane górnokredowe piaskowce, wapienie, dolomity i zlepierce. Nabiera smaku i wzboga-ga się o potas, magnez i sól. To woda subartezyjska. Jak napisano w pewnym naukowym opracowaniu, nasze północ-nosudeckie źródła zasilane są „głównie

na skutek bezpośredniej infiltracji wód opadowych, w mniejszym stopniu przez drenaż wodonośców szczelino-wych” („Opracowanie charakterystyki zlewni Kaczawy” Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej we Wrocławiu). Mam nadzieję, że jest to w miarę zrozumiałe. Nie trzeba wspominać, że nasza woda nie wymaga uzdatniania, a i tak spełnia wszelkie rygorystyczne polskie i europejskie normy jakości.

Potwierdzają to badania laboratoryjne, które przeprowadzane są sukcesywnie przez Powiatową Stację Sanitarно-Epidemiologiczną w Złotoryi oraz inne podmioty.

Co więcej, jej skład fizyko-chemiczny jest porównywalny z wodą źródłaną, nawet tą rozprowadzaną przez znane marki handlowe. W wodzie znajdują się śladowe ilości minerałów, a więc uznaje się ją za zmineralizowaną i spełniającą wymagania stawiane dla produkcji wód butelkowych. Poszczególne składniki mineralne przedstawione są w dołączonej tabeli.

Wysoką jakość dostarczanej wody potwierdza całkowity brak skarg na smak i zapach, które w oczach (ustach?) zwykłych ludzi stanowią jej główne parametry oceny.

Co się dalej dzieje z wodą, kiedy już wydobędziemy ją z tej głębokiej północnosudeckiej depresji? Otóż pompowa-

na jest do magistralnej sieci wodociągowej. Przy pomocy rurociągów woda tłoczona jest do położonego na wysokości 268 m.n.p.m., zbiornika wody czystej „Wilcza Góra”. Pojemność tego zbiornika to 780 m3.

Ze zbiornika „Wilcza Góra” woda spływa sobie grawitacyjnie (czyli bez użycia pomp) w kierunku miasta układem trzech magistral wodociągowych. Dwie z nich, dalej korzystając z górzystego terenu, zaopatrują dolną (północną) część miasta. Pozostała część zasilana jest wodą przepompowywaną w ostatnio odnowionej malowniczej hydroforni na ul. Hożej. Hydrofornia wyposażona jest w dwa zespoły energicznych pomp, które w „pocie” oleju regularnie podnoszą ciśnienie wody mieszkańcom miasta nawet do 6,4 bar. Szczególną sympatią pracę hydroforni powinni darzyć złotoryjanie zamieszkujący budynki położone w górnej części miasta, zwłaszcza wielorodzinne, a także właściciele firm w strefie ekonomicznej, gdyż to dzięki niej mają wodę. Ale nie tylko złotoryjanie mogą cieszyć się tą subartezyjską wodą. RPK dostarcza ją także ok. dwóm tysiącom mieszkańców okolicznych wsi należących do Gminy Wiejskiej. Zgodnie z ostatnimi danymi całkowita długość sieci wodociągowej w Złotoryi wynosi ponad 76 km. Sieć ta jest cały czas modernizowana.

Wiemy, że wodę trzeba szanować i oszczędzać, bo zmiany klimatyczne grożą nam między innymi suszą. A jakie są zasoby złotoryjskiej wody? Czy w końcu kiedyś jej nie wypijemy? Nad tym czuwa specjalny urząd: Państwowe Gospodarstwo Wodne „Wody Polskie”, które wydaje pozwolenia wodnoprawne na pobór wody ze środowiska. W tym pozwoleniu określa maksymalną ilość me-



trów szczęśliwych wody, jaka może być pobrana (wyprodukowana) na dobę. Na podstawie takiego pozwolenia działa także Oddział Wodociągów i Kanalizacji Rejonowego Przedsiębiorstwa Komunalnego sp. z o.o. w Złotoryi. Zgodnie z tym dokumentem maksymalna ilość wody, jaką możemy pobrać z naszego źródła to ok. 3,5 tys. m3 na dobę. Według danych uzyskanych z RPK w 2021r. zarówno przedsiębiorstwa, jak i mieszkańcy Złotoryi zużywali średnio ok. 1,6 tys. m3 wody na dobę. Liczby mówią same za siebie, ale niech to nie uspi naszej czujności. Wodę trzeba oszczędzać. Woda jest droga i będzie jeszcze droższa (to nie jest wcale zapowiedź jakichś planowanych konkretnych zmian w złotoryjskiej taryfie).

Należy pamiętać, że znaczący wpływ na jakość wody z kranu ma stan rur wodociągowych w budynku. Przedsiębiorstwo wodociągowe jest odpowiedzialne za jej jakość jedynie do licznika, potem już stan jest zależny od administracji bu-

dynku i tego, jak się dba o rury. Niestety ze względu na brak funduszy i wiek niektórych domów, instalacje nie są w dobrym stanie. Często przestarzałe, zarzewiałe, nieodpowiednio konserwowane, stają się bezpośrednią przyczyną pogorszenia jakości wody. Nie raz zastanawiało mnie, dlaczego po awarii wodociągu, woda z kranu najpierw leci „ruda” i klaruje się dopiero po jakimś czasie. Otóż dowiedziałem się od kolegów z firmy, że to nie są żadne „płyny techniczne” po naprawie awarii, ani nic obcego do sieci się nie dostaje. Po prostu po ponownym włączeniu wody, uderzenie jej ciśnienia jest tak duże, że z rur odrywa się rdza i inne zanieczyszczenia, które przy normalnym strumieniu siedzą sobie grzecznie. Tak więc, drodzy złotoryjanie, obserwujcie jak długo leje się po usunięciu awarii ruda woda w waszym kranie, po tym poznacie stan rur w swoim budynku.

*Jarosław Jańta*

Lp.	Badany parametr	Jednostka	Złotoryjska woda wydobywana od 1963 r.	Woda butelkowa – źródłana*		
				Woda pochodząca z Żywieckiego Parku Krajobrazowego	Naturalna woda z Beskidu	Najpopularniejsza woda dla matek i dzieci
1	Magnez	mg/l	8,6	5,6	17,0	5,3
2	Siarczany	mg/l	11,0	0,0	43,6	0,0
3	Chlorki	mg/l	10,0	0,0	3,2	4,3
4	Fluorki	mg/l	0,2	0,1	0,0	0,2
5	Potas	mg/l	2,3	0,0	1,0	1,7
6	Sód	mg/l	4,7	9,7	11,1	8,9
7	Wapń	mg/l	32,0	41,7	44,1	44,4
8	Wodorowęglany	mg/l	108,0	131,1	186,7	165,0
9	Suma składników mineralnych	mg/l	174,0	230,0	322,0	271,0

\*Opracowano na podstawie www.wodamineralna.netmark.pl – aktualizacja z września 2021 r.



## Chcę tu zostać



WWW.TENMOMENT.EU

Sofija Kolesnykova jest tegoroczną maturzystką. Uczy się w złotyjskim liceum i bardzo interesuje ją geografia. Radzi sobie niezłe z większością przedmiotów i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jeszcze 6 lat temu Sofija nie znała ani słowa po polsku. Bo kiedy przyjechała tu z Ukrainy, mówiła tylko w rodzimym języku oraz po rosyjsku. Dziś trudno poznać, że Sofija jest cudzoziemką.

Kiedy umawiałam się na rozmowę z Sofiją, jeszcze nie było wojny na Ukrainie, ale groźba konfliktu wydawała się bardzo realna. Moja rozmówczyni prosiła, abyśmy nie poruszały tego tematu, bo jak mówi, jest to dla niej przykre i trudno jest jej pojąć, co się dzieje. Poza tym na Ukrainie jest jej rodzina, dziadkowie, tato i nie mają możliwości uciec do Polski.

**Pamiętasz, kiedy przyjechałaś do Polski?**

Tak, to był wrzesień 2016 roku. To była decyzja mojej mamy. Moi rodzice rozeszli się i mama postanowiła wyjechać z kraju, zaczynając nowe życie w Polsce. Przyjechała tu do pracy i po kilku miesiącach zabrała nas do siebie, mnie i moją siostrę. Była to dla mnie duża zmiana, bo nie po-

szłam już do 7 klasy, tylko w Polsce do gimnazjum.

**Znałaś już wcześniej Polskę?**

Nie. Nie znałam też słów po polsku.

**Jak zareagowałaś na to, kiedy mama postanowiła was zabrać do nieznanego kraju?**

Byłam dzieckiem i przyjąłam to ze spokojem. Nie rozumiałam do końca co się dzieje, ale postanowiłam podporządkować się tej decyzji.

**Gdzie mieszkacie na Ukrainie?**

W Pawłohradzie koło Dniepru. To takie miasto wielkości Legnicy.

**Zostawiłaś tam swoją rodzinę, znajomych. Nie było ci tego żal?**

Rodzina mówiła, że wszystko będzie ok, że będziemy utrzymywać kontakt, że nie mam się czym przejmować, poznam nową szkołę, nowych ludzi. Wierzyłam w to i akceptowałam. Ja taka jestem, że spokojnie przyjmuję wszystkie zmiany, dostosowuję się.

**Jak wyglądał twój pierwszy dzień w polskiej szkole?**

Wszystko było inne niż na Ukrainie, pamiętam, jak zdziwiłam się na widok stołówki. W ukraińskich szkołach stołówki są ogromne jak sale sportowe, przeznaczone są dla wszystkich uczniów, a tu była taka malutka. Nie rozumiałam tego, bo na Ukrainie obowiązkowo każde dziecko je na stołówce. A tu tylko niektórzy uczniowie korzystają z obiadów. Różniły się też lekcje, system oceniania – w ukraińskiej szkole oceny są do 12., tu do 6. Nie mogłam się do tego przyzwyczaić. Poza tym uczyłam się wcześniej tylko języka ukraińskiego i rosyjskiego, znałam literaturę tych krajów.

**Jak cię przyjęli rówieśnicy?**

Na początku trochę bali się mnie i Krystyny, tak mi mówiła Krysty-

na, bo ja nie rozumiałam, co mówiła. Kojarzyli nas z wojną, bombami. Nie wiem nawet dlaczego. Może trochę ich rozumiem, byliśmy z innego kraju, nasze imiona były dziwne dla nich, nie mogli z nami swobodnie porozmawiać, szczególnie ze mną, więc nas nie znali.

**Było ci trudno?**

Skupiłam się na nauce, chciałam dużo czytać, by dogonić innych. Pewnie trochę straciłam na kontaktach towarzyskich, ale ja lubię się uczyć.

**Wiem, że nauczyciele w gimnazjum dzięki tobie przypominali sobie język rosyjski. Język ukraiński różni się chyba niewiele od rosyjskiego?**

Bardzo się różnią te języki, choć wydaje się, że brzmią podobnie, ale nawet akcent ukraiński jest bardziej melodyjny, rosyjski – stanowczy. I mnie się wydaje, że polski jest bardziej podobny do rosyjskiego niż ukraińskiego.

**Gdy przysłałaś na pierwsze lekcje do polskiej szkoły nic nie rozumiałaś?**

Nic. Ale pomogli mi znajomi, a szczególnie Krystyna – również Ukrainka, która uczyła się wcześniej polskiego 3 lata. Na początku znałam tylko jedno słowo: „dziękuję” i wszystkim dziękowałam. 😊

**Miałaś dodatkowe lekcje z języka polskiego.**

Tak, ale pani nie uczyła mnie gramatyki, tylko czytałyśmy, mówiłyśmy, pani mnie poprawiała w wymowie. Często grałyśmy w scrabble i tak się uczyłam słów, to bardzo mi pomogło.

**Jak teraz oceniasz swoją znajomość języka polskiego?**

Czy ja mogę oceniać siebie? Przynajmniej wszystkim starałam się pozbyć akcentu.

**Dlaczego?**

Nie lubię się wyróżniać, nie lubię być traktowana inaczej. Na przykład nie chcę, aby podwyższano mi ocenę, tylko dlatego, że słabiej znam język. Z tym akcentem poradziłam sobie lepiej tu w liceum, w nowym otoczeniu zaczynałam mówić tak jak inni, a wcześniej w gimnazjum była ze mną Krystyna i rozmawiając z nią, podtrzymywałam intonację.

**W liceum było ci już łatwiej po 3 latach nauki polskiego w gimnazjum?**

Nie wiem. Pamiętam, jak mi było wstyd, jak pani mnie zapytała o fraszkę „Dewotka” a ja nie umiałam się wystawić, wytłumaczyć pani, co mam na myśli. I wtedy zrozumiałam, że muszę dalej się uczyć języka. W gimnazjum byłam wzorową uczennicą i wydawało mi się, że już jest dobrze, a tu okazało się, że nie jest jeszcze tak, jakby mogło się wydawać. Wtedy, na polskim, jak poczułam wstyd, bałam się już odzywać.

**Nie wiedziałam, że tak mocno to przeżywasz. Ale teraz jesteś bardzo aktywna na lekcjach.**

Tak, teraz tak, bo dużo czytam i chcę mieć dobre oceny. Czytam wszystkie lektury i dziwię się moim kole-



Dzieciństwo na Ukrainie

żankom, że one nie chcą czytać. Ja jestem bardzo wymagająca wobec siebie. Jak sobie postawię cel, to do niego idę ciężką pracą. Mam to chyba po tacie, bo on jest pracowolikiem.

**Jak w domu rozmawiacie?**

Z siostrą rozmawiam po polsku, do mamy też mówię po polsku, a mama czasem do mnie po rosyjsku.

**A w jakim języku śnisz?**

A to zależy kto lub co mi się śni. Jak śni mi się dawne życie, to po rosyjsku, a jak to, to po polsku. 😊

**Przeprowadzka do Polski była i dla ciebie i siostry na pewno rewolucją, a jak wasza mama się w tym odnalazła?**

Kiedyś, na Ukrainie miałyśmy własny dom, teraz wynajmujemy. Mama nie pracuje w swoim zawodzie, bo z wykształcenia jest magistrem far-

macji a zatrudniona jest w gastronomii. Jednak, gdyby chciała uprawiać wyuczony zawód, musiałaby zrobić kursy, które dużo kosztują i wymagają wyjazdów do Warszawy. Dlatego mama już pogodziła się z tym, że nie będzie tutaj farmaceutką. Może gdy my już się wykształcimy, to ona spróbuje wrócić do zawodu. Teraz przede wszystkim zależy jej na naszym wykształceniu.

**Jak według ciebie złotoryjanie traktują Ukraińców?**

Dobrze, bardzo dobrze, z szacunkiem. Nie spotkałam się z jakimiś przykrościami. Nie usłyszałam nigdy, że powinnam wracać na Ukrainę. Nawet jak powiem coś niepopraw-

wygląda jak ptasie mleczko [Iwowski przysmak – dop. red.]. Za to posmakowały mi polskie krostki.

**Polska ci się podoba? Jak oceniasz obecne miejsce w porównaniu z poprzednim?**

Chyba tu jest ładniej. Tam miałam niedaleko do morza.

**Planujesz tu zostać?**

Tak. Mam tu znajomych, plany. Zapominam powoli język ukraiński, mam fatalny akcent, lepiej chyba mówię po rosyjsku i tak rozmawiam przez telefon z dziadkami, bo kaleszczę ukraiński. W szkole u siebie uczyłam się tych dwóch języków, a nawet bardziej rosyjskiego, bo w tych rejonach Ukrainy [Donieck – przyp. red.] tak właśnie to wyglądało.

I dlatego na maturze planuję również zdawać język rosyjski pisemnie.

**Nie boisz się matury?**

Boję i to bardzo. Najbardziej z matematyki. Jestem też ciekawa, jak mi pójdzie z polskiego. Zależy na jaki tekst trafię, czy go rozumiem.

**Nie chciałaś mieć przywilejów dla obcokrajowców na egzaminie.**

Nie. Postanowiłam, że chcę być oceniana jak wszyscy inni. Równo.

**A co po maturze?**

Nie tak dawno jeszcze mówiłam, że chcę studiować psychologię. A to zupełnie przez przypadek, bo jak mnie zapytano, co chcę robić po liceum, to chciałam powiedzieć, że będę policjantką, a pomyliłam się i powiedziałam – psychologiem 😊. I w sumie mi się to spodobało, ale teraz myślę, że pójdę raczej na studia związane z geografią. Może gospodarka przestrzenna, geologia, może geodezja. Chciałabym iść na uniwersytet do Wrocławia.

**Na koniec zapytam cię o coś, o czym nie chcesz mówić. Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Jak skomentujesz obecną sytuację na Ukrainie?**

Jestem dumna z mojego prezydenta.

**Z Sofiją Kolesnykovą rozmawiała Iwona Pawłowska**

P.S. Sofija obecnie jest bardzo pomocna w rozmowach z uchodźcami, jak się okazuje, jej znajomość języka ukraińskiego jest lepsza niż sama sądzi. 😊

# Lekcja empatii

Razem pokonamy wszystkie schody

Wybuch wojny w Ukrainie i będąca tego skutkiem fala uchodźców sprawiły, że i my nie możemy być obojętni. Niestety uodporniliśmy się na działania militarne kierowane przeciw ludności cywilnej w innych, bardziej odległych krajach świata, jednak kiedy to samo dotyka naszego sąsiada, wreszcie obudziła się w nas wrażliwość. Dla wielu z nas oczywistym wydało się, by pomóc uciekającym przed wojną Ukraincom, bezbronny i samotny kobietom i dzieciom. Ruszyliśmy spontanicznie ze składkami pieniężnymi, zbiorcami odzieży, żywności, wielu z nas postanowiło użyć własnego dachu nad głową tym, którzy swojego domu już nie mają.

Szczególnie dla młodzieży obecna sytuacja to dobra, choć i bardzo dramatyczna lekcja wychowawcza.

Oskarżane o lenistwo, zblazowanie i odcinanie się od rzeczywistości młode pokolenie stanęło na wysokości zadania. Wystarczyło hasło, by wokół zadania pojawili się chętni do jego wykonania.

Młodzież ze szkół średnich naszego miasta od razu wyszła z inicjatywą, kiedy w okolicy pojawiły się pierwsze rodziny uchodźców. Uczniowie z Liceum przy Kolejowej zareagowali błyskawicznie, kiedy okazało się, że 11-osobowa rodzina z ogarniętego wojną kraju znalazła schronienie w pobliskim Wilkowie, a jedyny ich dobytek mieścił się w kilku walizkach. Licealiści ogłosili zbiórki pieniędzy na zakup niezbędnych rzeczy: ubrań, środków chemicznych, żywności. Przez dwa dni z rzędu prowadzili szkolny bufet, w którym sprzedawali robione przez siebie tosty, serwowali ciasto własnoręcznie upieczone przez rodziców lub pracow-

ników szkoły. Zbiórka pieniędzy ruszyła również wśród grona pedagogicznego i personelu liceum. Przez trzy dni udało się zbierać w efekcie tych działań ponad 9 tysięcy złotych. Połowę przeznaczono na sprawunki; kupiono pościel, środki czystości, jedzenie i napoje. Zakupy robili uczniowie i z pomocą opiekuna samorządu dostarczyli do rąk własnych rodziny z Ukrainy.

Jednak czas pokazał, że potrzebujących przybywa i przyszkolne schroniska oraz internat, mieszczący się w budynku LO, zapełniły się uchodźcami w mgnieniu oka. Bardzo często byli to ludzie, którzy uciekli do Polski z jedną reklamówką, w zniszczonych drogą butach i ubraniach. I tu społeczność szkoły stanęła na wysokości zadania. Część pieniędzy, które zostały z poprzedniej zbiórki przeznaczono na zakup kapci, bielizny...

Nauczyciele ze swojej strony pomagają materialnie swoim gościom i przynoszą do domu to, co w danej chwili jest najbardziej potrzebne, łącznie z karmą dla kotów i psa.

Niebagatelną rolę w tym momencie odegrała jedna z licealistek - Sofija Kolesnykova, która pomagała w porozumieniu się z Ukraincami. Ona wypytywała uchodźców o ich potrzeby, pomagała odnaleźć się w nowych realiach, wprowadziła po mieście, by pokazać najważniejsze instytucje.

Liceum nie tylko pomaga materialnie, ale też zagospodarowuje czas dzieciom. Z inicjatywy dyrekcji i we współpracy z klubami sportowymi młodzieży Ukraińcy korzystają z zajęć rekreacyjnych: grają w tenisa, w piłkę nożną i siatkówkę.

Do Liceum trafiło dziewięć uczniów, większość to klas pierwszych. Niektórzy z nich rozumieją język polski, trochę trudniej jest im mówić w naszym języku. Niezależnie od tego miejmy nadzieję, że będą się tu czuć swobodnie i szybko nawiążą licealne znajomości. W razie potrzeby będą rozmawiać z licealistami po angielsku ☺.

Nie mniej aktywnie do pomocy uchodźcom włączyła się młodzież z Zespołu Szkół Zawodowych, szkoła, do której w pierwszej kolejności poszli młodzie Ukraińcy.

Wicedyrektorka szkoły Małgorzata Miara-Stępień mówi: „Do naszej szkoły do dnia 11.03 przyjęliśmy 11 uczniów z Ukrainy w wieku od 15 do 17 lat. W związku z tym, że system edukacji w Ukrainie różni się od naszego oraz biorąc pod uwagę fakt, że większość z nich nie ma żadnych dokumentów, musieliśmy „na słowo” zakwalifikować ich do różnego typu klas i szkół zbliżonych kierunkami do naszych. Wyboru dokonali wraz ze swoimi rodzicami, którzy przyszli z nimi w pierwszy dzień szkoły. Oprócz zgodności kierunków braliśmy

też pod uwagę to, żeby byli chociaż w 2-3 osobowych grupach, aby było im łatwiej się zaaklimatyzować”. Nauczyciele i uczniowie stanęli przed dużym wyzwaniem, ponieważ prawie żaden nowo przyjęty uczeń nie znał języka polskiego. „Trochę rozumiemy się nawzajem, trochę pomagamy się tłumaczyć, a resztę na migi ☺”. Bardzo pomocni są w tej kwestii nasi uczniowie z Ukrainy, Vladimir i Maks, którzy chodzą do nas od września. Pomagają przybyszom odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Dzieci te są bardzo otwarte, w większości uśmiechnięte, ale jednak przestraszone. Chętni z nami rozmawiają, ćwiczą na wf, przychodzą w razie potrzeby i pytają. Nasi uczniowie również bardzo serdecznie ich przyjęli” – mówi Małgorzata Miara-Stępień.

Młodzież ZSZ zorganizowała koncert charytatywny pod hasłem „Dobro wraca” oraz sprzedaż ciast z okazji Dnia Kobiet. Akcję koordynowała Małgorzata Galar. Cały dochód z tych imprez oraz dodatkowo zebrane pieniądze od pracowników szkoły zostały przekazane na rzecz potrzebujących. Jest to kwota ponad 6 000 zł. Za 1 500 zł uczniowie z wicedyrektorką zrobili zakupy dla niepełnosprawnych i chorych i zawieźli je do ZAZ w Świerzawie, gdzie również mieszkają uchodźcy. Poza tym od początku, kiedy rozpoczęła się zbiórka potrzebnych rzeczy, 60 uczniów szkoły, podobnie jak licealiści z Kolejowej, zostało wolontariuszami. „Codziennie pełnią dyżury w magazynie przy ul. Chojnowskiej, pomagają w transporcie mebli, żywności itp. Rozwożą je własnymi autami. Pozyskali też sponsora Mine Master, który zakupił 15 plecaków z wyposażeniem dla uczniów z Ukrainy. Na terenie szkoły również zebraliśmy artykuły pierwszej potrzeby i przekazaliśmy je koordynatorom akcji. Jestem pełna podziwu dla naszej młodzieży, założyli grupy, na których sami się organizują w razie potrzeb. Fajnie mieć taką

młodzież” – dodaje Małgorzata Miara-Stępień.

Do akcji pomocowej włączyły się też młodsze roczniki. Uchodźcy mogą liczyć na wsparcie ze strony uczniów szkół podstawowych. Koordynator szkolnego koła wolontariatu mówi: „W obliczu wydarzeń z ostatnich dni, cała społeczność Szkoły Podstawowej nr 1 im. Marii Konopnickiej zmobilizowała się i na różne sposoby zaangażowała się w pomoc uchodźcom wojennym z Ukrainy. Akcje pomocowe koordynowane były i są przez Dyrekcję Szkoły, Szkolne Koło Wolontariatu, Radę Rodziców, Nauczycieli, Uczniów, Pracowników Obsługi i przede wszystkim Rodziców. Od początku akcji w naszej szkole zbierane były produkty żywnościowe z długim terminem przydatności, artykuły spożywcze oraz artykuły chemiczne codziennego użytku, wyprawki szkolne, które zostały przekazane rodzinom z Ukrainy przebywającym na terenie naszego miasta, Lwówka Śląskiego, i uchodźcom do Domu Spotkań. Najmłodszy uczniowie złotoryjskiej „Jedynki” cały czas solidaryzują się z obecną sytuacją na Ukrainie poprzez tworzenie gazetki oraz prac plastycznych. Od połowy marca zaczęli uczęszczać na zajęcia pierwsi uczniowie z Ukrainy, którzy zostali przez wszystkich gorąco przyjęci”.

Nie inaczej jest w Szkole Podstawowej nr 3 w Złotorzy. Wioleta Michalczyk chwali ósmoklasistów z „trójki”, którzy zorganizowali



w szkole sklepik, a dochód z niego przeznaczali na pomoc uchodźcom z Ukrainy. Dlaczego pomagają? „Warto pomagać, ponieważ taka sytuacja może zdarzyć się również nam. W obliczu krzywdy wszyscy ludzie są tacy sami, jednoczą się i pomagają sobie. Jeśli nie pomożemy, możemy mieć wyrzuty sumienia. Pomagając, dajemy komuś powód do uśmiechu, sprawiamy mu radość. Nam pomaganie daje satysfakcję, jesteśmy zadowoleni z siebie. Pomagając, ratujemy ludzi, aby mieli lepiej w życiu. Każdy by chciał, aby ktoś mu pomógł. Pomoc zawsze wraca. Warto, tak po prostu, pomagać” – mówią uczniowie.

Na pomoc ruszyli prawie wszyscy: szkoły, stowarzyszenia, władze samorządowe. Pomoc płynie od osób indywidualnych, takich jak na przykład pani Katarzyna: „Ta pomoc to był po prostu instynkt. Moje córki, Ala i Weronika chodzą do ZSET w Rakowicach Wielkich. Zajmują się tam także wolontariatem. W szkole uczą się dzieci z Ukrainy, mieszkają w internacie i do nich przyjechały ich rodziny i znajomi - ok. 80 osób.

Nikt nie podważał decyzji koordynatora - pedagoga szkolnego - Angeliki Kowalczyk, aby im pomóc. Na ogłoszenie na Facebooku odpowiedziało mnóstwo osób z Pielgrzymki i okolicy, w tym nasze kochane dziewczyny z KGW Lejdis. Do Rakowic pojechała chemia, żywność, koce, kołdry, śpiwory, produkty dla dzieci, buty i odzież. Transporty darów pojechały również bezpośrednio na Ukrainę”.

Ewelina Niklewicz-Dębicka zmobilizowała społeczność gminy Pielgrzymka. „Wychoząc naprzeciw bardzo trudnej sytuacji związanej z wojną na Ukrainie przystąpiliśmy do akcji organizowanej w powiecie złotoryjskim. Decyzja o współpracy i jej plan powstały w kilka minut. W Gminie Pielgrzymka znalazła się grupa osób, które z potrzeby serca



zaangażowały się w pomoc. Wśród nich byli radni, nauczyciele, Koła Gospodyń Wiejskich oraz dzieci i młodzież. Szczególnie zaangażowali się Tomasz Ślusarczyk, Łukasz Dębicki, Angelika Naporowska, Małgorzata Kubicka, Ewelina Niklewicz-Dębicka, Elżbieta Danielak, Sebastian Dębicki, Jolanta Korzystko. Od 26 lutego prowadzona była zbiórka najpotrzebniejszych rzeczy. Ludzie o wielkich sercach przystąpili z zaangażowaniem do pracy. Część zebranych rzeczy



od razu została przekazana pierwszym osobom, które przybyły do naszej gminy z Ukrainy. Część konkretnie wskazanych rzeczy, jak środki higieniczne czy rzeczy dla małych dzieci przekazaliśmy do Klasztoru Franciszkanów w Złotorzy. Razem ze Szkołą Podstawową im. Jana Pawła II i jej filią w Nowej Wsi Grodzkiej przygotowano transport darów do Domu Polskiego w Samborze. Było to możliwe dzięki uprzejmości i pomocy Firmy Transportowej MP Marcin Pitera. Dom Polski w Samborze dystrybuje dary i przekazuje na miejscu najbardziej potrzebującym. Niektórzy mieszkańcy naszej gminy mają kresowe korzenie w Samborze, więc to miejsce jest bliskie naszym sercom. W trudnym, wojennym czasie chcieliśmy wesprzeć Polaków, którzy nadal krzewią tam polskość. Jeszcze niedawno Towarzystwo Kultury Polskiej „Dom Polski” w Samborze było

centrum kulturalnym i edukacyjnym dla Polaków na Ukrainie, a teraz stało się humanitarnym punktem wsparcia dla ofiar rosyjskiej napaści. Cieszy nas również fakt dużego zaangażowania dzieci jako wolontariuszy. Taka akcja to nauka empatii, bezinteresownej pomocy na rzecz innych oraz działań charytatywnych. To piękna postawa naszego lokalnego społeczeństwa i solidaryzowania się ze wschodnimi sąsiadami”.

To pospolite ruszenie wywołuje rozmaite emocje, od podziwu, szacunku, wzruszenia, po irytację. Niektórzy są dość sceptyczni wobec tych spontanicznych akcji pomocowych, które prowadzone są czasami bez rozpoznania potrzeb uchodźców. Bardzo ważna jest mądra pomoc, celowana do konkretnych osób na konkretne zapotrzebowanie. Tego nauczyła mnie praca w Szlachetnej Paczce, że najpierw diagnozuje się potrzeby, weryfikuje sytuację, a potem działa. O tym też mówi Kasia: „Jestem zwolenniczką pomocy, ale nie takiej na wielką skalę, tylko bardziej docelowej, dla konkretnej osoby. Moim zdaniem, wiele z zebranych rzeczy potem niszczy, nieodpowiednio przechowywanych w magazynach. Jestem skłonna pomagać komuś z mojego otoczenia, jednak nie finansowo. Nie mam obecnie pracy, a ceny w sklepach wariują. Uważam, że pomaganie powinno polegać na dawaniu wędki, a nie ryby. Dać możliwość zarobkowania, niekoniecznie gotówkę i gotowe produkty. Należałoby zapewnić opiekę nad młodszymi dziećmi, aby kobiety mogły pójść do pracy. Jest dużo takiej, której Polacy nie chcą wykonywać. Ukraińcy potrzebują mądrej pomocy, niekoniecznie jałmużny. Nic na siłę. Jeśli chodzi o przyjmowanie uchodźców do domu, to jest to bardzo indywidualna sprawa. Ja bym się na to nie zdecydowała, chyba że byłby to ktoś z rodziny. Podobnie z wynajmem. Musimy w pierwszej kolejności zadbać o siebie, aby móc pomagać innym. Nie wiem, czy jesteśmy jako naród zdolni do pomocy długofalowej. Oczywiście nikt nie odmówi nikomu kromki chleba”.

Prawdą jest, że jako naród spisaliśmy się na medal w pierwszych dniach wojny na Ukrainie. Oby tylko udało nam się wytrwać w tym zadaniu przez kolejne tygodnie lub miesiące. Wojna nam pewnie niedługo spowszednieje, możliwości niesienia pomocy zapewne też się wyczerpią, ale dramat uchodźców nie minie i trzeba będzie do wszystko ze sobą pogodzić. Najważniejsze by nie zubożelić na ludzką tragedię. Bo jak mówił Horacy: „Tua res agitur, paries cum proximus ardet”.

 opracowała Iwona Pawłowska

## Z odsieczą



Wiktorii Litwinowa przyjechała z Ukrainy jakieś dwa lata temu, aby zarobić na życie swoje i sześciorga dzieci, które pozostały na Ukrainie pod opieką jej siostry.

Czwartek 24 lutego wspomina jako koszmar - dowiedziała się, że na jej kraj spadają bomby. Z niepokojem obserwowała docierające do niej informacje od jej najbliższych.

Dwa dni później, gdy tylko dowiedziała się, że rosyjskie pociski trafiają coraz bliżej miejsca zamieszkania jej dzieci, podjęła decyzję o ich ewakuacji. Poprosiła o pomoc Joannę Traczyk (sołtyskę Wilkowa), właścicielkę domu, w którym zamieszkiwała. Pani Joanna szybko zorganizowała ekipę, której zadaniem było dostać się jak najbliżej polsko-ukraińskiej granicy i odebrać stamtąd w sumie 11 osób, bo siostra pani Wiktorii uciekała również ze swoimi dziećmi. Po pół godzinie znaleźli się chętni do wyprawy przez całą Polskę.

“Powieм szczerze - na prośbę Wiktorii zareagowałam bardzo emocjonalnie. Pojechaliśmy wraz z Wiktorią odebrać jej pociechy. Byliśmy w stałym kontakcie z siostrą kobiety, która szła razem z jej i swoimi dziećmi. Podczas drogi docierały do nas szokujące informacje, ale wierzyliśmy, że wszyscy cali i zdrowi do nas dotrą. Gdy pod przejściem granicznym zobaczyłam całą rodzinę Wiktorii, trudno mi było powstrzymać się od emocji, które w tamtym momencie do mnie napły-

nęły” - mówi Joanna Traczyk.

W tej ciężkiej emocjonalnie podróży po swoje dzieci Wiktorii cały czas miała kontakt telefoniczny ze swoją siostrą Ludmiłą.

Podróż Ludmiły do Polski nie była łatwa. Najstarsza, dwudziestoletnia córka Wiktorii poinformowała ją, że nie weźmie udziału w ewakuacji z kraju, gdyż postanowiła walczyć w obronie ojczyzny. Podczas ucieczki musieli zostawić swoje domy i cały dorobek życia, i w szybkim tempie zabrać to, co jest potrzebne. Najpotrzebniejsze przedmioty zdołali zapakować do walizki i jednej torby podróżnej. Dzieci miały ze sobą małe plecaczki. Wszystko inne zostało w ich domu w Ukrainie.



Ich rodzinna wieś, nieopodal Riwnie (Równe) położona jest 250 kilometrów od granicy, przez którą przeszli. Większość drogi przebyli samochodem osobowym w trzynaście osób. Osiem kilometrów przed granicą nie było możliwości kontynuowania trasy samochodem. Byli zmuszeni wyruszyć w dalszą podróż piechotą. W grupie było dwanaście osób, w tym jedenaścioro dzieci oraz siostra Wiktorii. Dwudziestodwuletni chłopak, najstarszy syn Ludmiły, pomimo niepełnosprawności został zawrócony i musiał zostać w kraju, ponieważ patrol napotkany w drodze poinformował go, że nie zostanie przepuszczony przez granicę. Wspólnie zdecydowali, że zawróci i pozostanie w Ukrainie. Zostało ich jedenaścioro...

Dzieci były przemarznięte, okryte kocami i bardzo głodne. Najmłodsza z nich ma 4 lata. Podążając w stronę granicy, widzieli autobusy przepełnione ludźmi. Z jednego z nich wychylił się kierowca i powiedział, że ma jeszcze miejsca stojące. Zaoferował im te miejsca, żeby mogli się ogrzać i odbyć dalszą podróż autobusem. Udało im się przekroczyć ukraińską granicę. Pomiędzy granicami czekali ponad dwanaście godzin. Bardzo długo trwały wszystkie niezbędne formalności związane z odprawą w punktach recepcyjnych (dzieci nie posiadały ze sobą paszportów, tylko akty urodzenia). Ekipa, która przyjechała po ewakuowanych, zorganizowała autobus, którym uchodźcy dojechali z Dorohuska do Lublina. Tam wreszcie udało się Ukraińcom skorzystać z toalety, umyć się, zjeść to, co dostarczyła im jadąca “z odsieczą” grupa.

Przy kasie biletowej okazało się, że nie ma wolnych miejsc w pociągach zarówno do Legnicy jak i Wrocławia. Po kilkudziesięciu wykonanych telefonach udało się zorganizować mały autobus, który zawiózł Wiktorię, jej siostrę i wszystkie dzieci na dworzec PKP do Wrocławia. Stamtąd pojechali pociągiem do Legnicy. A z Legnicy zostali odebrani czterema autami osobowymi i dowiezieni do Wilkowa. Po kilkudziesięciu godzinach tułaczki wszyscy byli bezpieczni. Trafili pod gościnny dach pani Joanny Traczyk.

Gdy tylko uczniowie i nauczyciele Liceum Ogólnokształcącego w Złotorzy dowiedzieli się o tragicznej historii ro-

dzin Wiktorii i Ludmiły, stanęli na wysokości zadania. Przy pomocy nauczycieli udało się zorganizować zbiórkę finansową. Dzięki temu zostały zakupione nowe pościelenie, poduszki, kołdry, artykuły spożywcze oraz środki higieny osobistej. Wszystko zostało dostarczone do Wilkowa przez osoby z samorządu uczniowskiego. Z reszty uzbieranych pieniędzy zakupiono rzeczy dla innych rodzin, zamieszkujących na terenie internatu znajdującego się w liceum.

Młodzież ukraińska uczęszcza już do złotoryjskich szkół, jednak jest im trudno, pomimo wcześniejszej nauki języka polskiego w ukraińskiej szkole, porozumiewać się z rówieśnikami. Wspominają, że Polacy bardzo miło ich przyjęli i nie do-



znali żadnych przykrości z ich strony. Są zaskoczeni tak dużym wsparciem materialnym jak i duchowym.

Jest to jedna z pierwszych rodzin, która przybyła w nasze okolice. Dlatego odzew wsparcia był szybki. Zaangażowało się nie tylko dużo ludzi z ogromnym sercem, ale również instytucje w naszym mieście i gminie. Wiktorii, Ludmiły i ich dzieci są niezmiernie wdzięczne za okazaną pomoc, w tych pierwszych dniach na obcej ziemi. Cieszą się, że mogą użyć namiastkę spokojnego i bezpiecznego domu. Tak więc dziękują z całego serca wszystkim, ze łzami w oczach.

 Alicja Tokarz  
Wiktorii Jędrysiak  
Liceum Ogólnokształcące



## Dom mojego dzieciństwa - życie na torach

### Ni to wieś, ni to osiedle

Małaszewicze, gdzie stoi dom mojego dzieciństwa, nie były ani wsią, ani osiedlem. Tego miejsca nie było nawet na mapie aż do lat 80-tych XX wieku. Związane to było zapewne z koniecznością ukrycia lotniska wojskowego, zbudowanego w 1936 roku. Było ono bardzo ważnym elementem systemu obronnego Polski, bowiem w tamtym czasie Małaszewicze leżały w środkowej części granic Polski i kilka kilometrów od twierdzy brzeskiej (obecnie Brześć leży w granicach Białorusi). Wybudowano wtedy 14 hangarów dla samolotów, a na okolicznych polach powstało osiedle wojskowe w postaci kilku bloków dla kadry oficerskiej i ich rodzin. Lotnisko było bazą dla nowoczesnych bombowców. 1 września 1939 roku lotnisko Małaszewicze i baza zostały zbombardowane przez niemiecką Luftwaffe.

Po II wojnie światowej, w 1952 roku baza Małaszewicze została przejęta przez Polskie Koleje Państwowe jako suchy port przeładunkowy na styku kolei europejskich z torami szerokimi Związku Sowieckiego. Po osiedlu wojskowym zostały tylko dwa bloki, a po lotnisku dwa hangary i ogromne połacie pasów startowych.

### Życie na odludziu

W tych dwóch blokach po oficerach lotnictwa od

1952 roku zaczęły się osiedlać rodziny, których ojcowie i matki byli zatrudnieni – jak to się mówiło – „na kolei”. Moja rodzina też dotarła w tym czasie. Rodzice mieli już troje dzieci, ja – jako czwarte dziecko – czekałam w brzuchu mamy na swoje przyjście na świat. Warunki do życia w Blokach Kolejowych, bo taka nazwa funkcjonowała, były jak na ówczesne warunki bardzo dobre. Mielśmy bieżącą wodę i kanalizację oraz centralne ogrzewanie. Ko-

tłownia mieściła się w naszym budynku i ogrzewała oba bloki. Co prawda palacze w tej kotłowni często zapominali do rzucać węgla do pieca, bo byli po prostu pijani, ale wtedy nasi rodzice interweniowali i znowu w mieszkaniach robiło się ciepło.

Mieszkaliśmy na strasnym odludziu. Do najbliższej wsi Małaszewicze Duże mieliśmy około trzech kilometrów, szkoła i kościół były pięć kilometrów dalej, w Wólce Dobryńskiej. W tym czasie nikt nie miał samochodu, żadne autobusy nie kursowały, jednak w każdej rodzinie był przynajmniej jeden rower. Mój ojciec codziennie jeździł rowerem na wieś po świeże mleko od krowy



Moja codzienna droga do pociągu między torami.

i po wiejskie jaja. Gdy byliśmy starsi, ten obowiązek należał do nas. Pamiętam, miałam chyba 12 lat, wracałam rowerem ze wsi, na kierownicy wisiała kanka z mlekiem. Nawierzchnia drogi była zbudowana z polnych otoczek, jazda

Źródło: forum.modelarstwo



Takim pociągiem, bocznikiem, dojeżdżałam do szkoły przez 8 lat.



po tym była koszmarem. Nagle mój rower podskoczył na kamieniu, przewrócił się, a ja razem z nim. Kanka uderzyła o ziemię i całe mleko się wylało. Gdy z płaczem wróciłam do domu bez mleka i z krwawiącym kolanem, długo nie wysyłano mnie po wiejskie zaopatrzenie.

### Samowystarczalny mikroświat

W naszych dwóch blokach mieszkało około osiemdziesięciu wielodzietnych rodzin, liczebnie jak jedna wieś. Wszyscy ojcowie byli kolejarzami. W tym czasie PKP w Małaszewiczach zatrudniały około 5 tysięcy pracowników! Na naszym odludziu kolej stworzyła nam samowystarczalny mikroświat. W jednym z naszych dwóch bloków działał sklep spożywczo-przemysłowy, w tym samym bloku była też przychodnia zdrowia, oczywiście kolejowa. Przyjmował w niej lekarz ogólny, który leczył też dzieci, oraz dentysta. Do tej przychodni przychodziliśmy na wszystkie szczepionki. Do dzisiaj pamiętam smród lizolu i specjalne naczynia do spluwania na wysokich tyczkach, tzw. spluwaczki. Były na wysokości moich oczu, więc ciągle z obrzydzeniem musiałam patrzeć na ich zawartość. A wokół na ścianach napisy: PLUĆ TYLKO DO SPLUWACZKI. Swoją drogą, co to były za czasy, że mężczyźni spluwali pod nogi! Po prostu odrażające.

Nasz samowystarczalny mikroświat też miał przedszkole, bo dzieci było bardzo dużo. Z mojego pierwszego dnia w przedszkolu zapamiętałam tylko gąszcz nóg i swój strach. Miałam zaledwie dwa lata i byłam najmłodsza z dzieci. Z przedszkola pamiętam też, jak mój pięcioletni brat Zbyszek (ja miałam wtedy cztery lata) wsadził do gniazda elektrycznego dwa druty. Boże, co się wtedy działo! Wybuch trafił go prosto w twarz! Był swąd, mnóstwo dymu! Dzieci wrzeszczały, przedszkolanki biegały z obłędem w oczach, brata pędem zanieśli do przychodni (kilka kroków dalej). Na szczęście wszystko skończyło się na kilku niegroźnych oparzeniach. Potem, już jako dorosły, Zbigniew został elektrykiem.

### Zabawy na torach

Rodziny w naszej społeczności miały przeważnie po czworo dzieci, lecz w niektórych rodzinach było ich sześć, siedem, a nawet dziesięć! Wszystkie dzieci bawiły się zawsze na dworze. Nie znaliśmy pojęcia „podwórko”. Nasze dwa bloki stały właściwie na torach. Od strony okien mojego mieszkania tory znajdowały się w odległości

8 metrów, a z drugiej strony bloku tylko jeden metr! Po torach bez przerwy jeździły pociągi do wagonowni i z powrotem. Wagonownia i - niedaleko od niej - parowozownia mieściły się w dwóch ocalałych hangarach samolotowych, w odległości kilkunastu metrów od bloków. Chociaż nam tego zabraniano, często tam chodziliśmy przyglądać się pracy usmarowanych na czarno kolejarzy. Pozwalali nam, bo byli naszymi sąsiadami, ojcami i wujkami. Chłopcom dawno potrzymano prawdziwe ciężkie narzędzia, a dziewczynki dostawały kolorowe szmatki na ubranka dla lalek, które kolejarze dostawali do wycierania rąk.

Żeby zyskać więcej przestrzeni do zabawy, trzeba było przejść przez tory i nie dać się przejechać przez pociąg. Co prawda jeździły one powolutku, to były tylko tzw. przetoki, ale ogromne parowozy wzbudzały we mnie lęk. Dorosli ciągle nas upominali: uważaj na pociąg, nie przechodź pod pociągiem, gdy stoi, bo może ruszy z nienacką, i po tobie! Składy towarowe często zastawiały nam całe tory i stały bardzo, bardzo długo. Wtedy zostawała nam zabawa tylko przed blokiem na przestrzeni o szerokości około 8 metrów, chociaż na całą długość bloku. Z tyłu bloku nie wolno nam było chodzić, bo tak było wąsko, że przejeżdżający parowóz mógł o nas zczepić.

O dziwo, to życie na torach nauczyło nas, dzieci, ogromnej ostrożności i szacunku dla pociągów. Żadnemu dziecku nigdy nic się nie stało. Za to jednemu z mieszkańców parowóz przejechał po nogach, gdy ten zasnął pijany na torach. Nogi miał obcięte powyżej kolan, jeździł na wózku inwalidzkim i matki nas straszły, że jeśli nie będziemy uważać, to spotka nas to samo.

Jeżeli już udało nam się wydostać za tory, to dopiero można było się bawić! Rowerem świetnie się jeździło po gładziutkich pasach startowych. Na nich też rysowaliśmy kredą kwadraty i grali-

śmy w tzw. klasy albo w chłopa. Dzieci bawiły się gromadami, przeważnie bez żadnych dorosłych. Najpiękniejsze zabawy odbywały się zimą. Wtedy, w latach 60-tych na wschodzie Polski zimy były mroźne, śnieżne i trwały bardzo długo. Cudownie lepiło się bałwany, igloo, jeździło na sankach, a zamrożona, płytka sadzawka służyła do jazdy na łyżwach. Gromady dzieci urządzały bitwy na śnieżki.

Moje dzieciństwo to ogromne, płaskie, bezdrzewne przestrzenie na byłym lotnisku. Niedaleko, kilka minut spacerkiem, zaczynały się lasy. Wśród drzew przeważały pachnące żywicą sosny i



Zakończenie roku szkolnego w Małaszewiczach 1963 r. Pierwsza z lewej - autorka.

drzewa liściaste. Świerki zobaczyłam na własne oczy dopiero, gdy zamieszkałam na Dolnym Śląsku. W lasach było pełno grzybów, czarnych jagód, aromatycznych malin, a na koniec wakacji zbierało się strodkie czarne jeżyny w kłujących krzakach. Gdy byliśmy nieco starsi, mogliśmy chodzić do lasu bez dorosłych. Mama powtarzała:

– Pamiętajcie, że w naszym lesie nie można się zgubić. Jeśli straciecie orientację, to po prostu idźcie cały czas przed siebie. Zawsze w końcu traficie na jakieś tory. One zaprowadzą was do ludzi.

Faktycznie, okoliczne połacie lasów oplatała i przecinała gęsta sieć torów kolejowych. W lesie były tajemnicze stacje o nazwach Kowalewo czy Magdalenka i wiele innych. Dziś wiem, że tam po prostu odbywał się przeładunek materiałów sypkich z torów szerokich na nasze, europejskie.

W czasach mojego dzieciństwa nie było jeszcze lokomotyw spalinowych. Pociągi ciągnęły parowozy. Były to olbrzymie, przerażające, czarne, brudne i pluące

gorącą parą bestie, które przeraźliwie gwizdały. Z kominów parowozów wydobywały się kłęby czarnego dymu i płaty tłustej sadzy. Była wszędzie. W naszych włosach, na białych kołnierzykach, gdy szliśmy do szkoły, osiadała na parapetach wewnątrz mieszkań. Dzieci miały ciągle czarne ręce, bo czego się nie dotknęły, było to pokryte sadzą. Właśnie sadza przeszkadzała mojej mamie najbardziej. Trudno ją było zmyć, bowiem wtedy nie było doskonałych płynów

wyrosły ze szkoły czteroletniej, musiały zacząć uczęszczać do prawdziwej szkoły. Najbliższa podstawówka mieściła się 5 kilometrów dalej, w Wólce Dobryńskiej. Piechotą za daleko, a autobusów nie było. Następna szkoła znajdowała się w Terespolu, osiem kilometrów od mojego domu rodzinnego. Małaszewicze z resztą świata były połączone jedynie linią kolejową wschód-zachód. Trzeba więc było zacząć dojeżdżać do szkoły pociągiem.

Stacja PKP oddalona była od Bloków Kolejowych trochę ponad kilometr. Gdy się wyszło z bloku, najpierw trzeba było pokonać sieć torów kolejowych, po których jeździło mnóstwo pociągów (wyłącznie towarowych) do parowozowni i z powrotem. Tory leżały jedne przy drugich na szerokości około 50 metrów! Nie było żadnego szlabanu, żadnego dróżnika. Po prostu trzeba było bez przerwy się rozglądać i bardzo, bardzo uważać. To nie było proste dla dziesięcioletnich dzieci.

Gdy już się pokonało te tory w poprzek, dochodziło się do torów wschód-zachód. Tutaj było nieco bezpiecznie, bo wzdłuż nich biegła ścieżka wydeptana przez kolejarzy. Jednak nas kusiło, żeby chodzić nie obok, lecz torami, po podkładach. To było trochę straszne, ciągle nasłuchiwaaliśmy, czy aby parowóz, który słyszymy, nie jedzie naszym torem. Za to, jakie ekscytujące! To było niezwykle ekscytujące! A najfajniej szło się po szynach. Z moim starszym o 3 lata bratem Mietkiem robiliśmy zawody, kto dłużej będzie szedł po szynie i nie spadnie. Bardzo to lubiłam, bo ćwiczyło zmysł równowagi. Doszłam do takiej perfekcji, że umiałam nawet biegać po szynie. Potem na wuefie uwielbiałam ćwiczenia na równoważni.

Dojście do stacji zajmowało kwadrans. Nie pilnował nas nikt dorosły. Ja miałam 10 lat, a moja siostra Krystyna 15 i to ona miała za zadanie pilnowania trójki młodszego rodzeństwa. Pociągi, którymi jeździliśmy do szkoły, to były tzw. boczniki, budowane na początku XX wieku, gdzie wejścia do przedziałów usytuowano z boku wagonu. Do każdego przedziału wchodziło się z peronu osobnymi drzwiami. Między wagonami nie było przejść, więc konduktorzy, aby sprawdzić bilety, musieli poruszać się po zewnętrznym pomoście, nawet podczas jazdy pociągu. W przedziałach stały dwie drewniane ławki naprzeciw siebie, na każdej cztery miejsca siedzące, tak

że siedziało się bardzo blisko drzwi, które usytuowano po obu stronach przedziału. Było to bardzo niebezpieczne, bowiem niedokładnie zamknięte groziły otwarciem podczas jazdy, można było łatwo wypaść. Wśród dzieci krążyły opowieści grozy o tym, jak ktoś wypadł z pociągu, bo drzwi się otworzyły.

– Dzieci, pamiętajcie, zawsze słuchajcie się Krysi! – powtarzała mama. – Nie siadajcie przy drzwiach! Nie otwierajcie okien! Nie opierajcie się o drzwi!


Mogę sobie wyobrazić lęk mojej mamy, gdy wyprawiała nas codziennie z domu w tak niebezpieczną podróż. Na szczęście nigdy nikomu z nas nic się nie stało. Lubiłam jeździć pociągiem, podczas jazdy można było czytać, bo nie trzęsło, wystarczyło czasu, aby na przykład nauczyć się wiersza na pamięć, a mój starszy o rok brat Zbyszek często odrabiał lekcje właśnie w pociągu, bo przecież w domu „nie miał czasu”.

Później, gdy byliśmy już starsi, często (o zgrozo i bez wiedzy naszych rodziców!) wracaliśmy ze szkoły pociągiem towarowym, gdy wcześniej kończyły się lekcje, a naszego pociągu jeszcze nie było. Wiele razy też wracałam parowozem, gdy znajomy maszynista pozwalał stanąć na skrawku podłogi obok buchającego ogniem pieca. Wielokrotnie wracaliśmy ze szkoły piechotą, zwłaszcza latem, torami z Terespolu do Małaszewicz. Szliśmy całą gromadą i po ścieżce, i po torach. Za nami i obok nas jeździły pociągi, a parowozy gwizdały przeraźliwie. My nic a nic się nie baliśmy. To była nasza codzienność, nasze dzieciństwo. Było wspaniale!

Moje dojeżdżanie do szkoły pociągiem trwało aż do matury – całe osiem lat.

#### Pożegnanie z domem rodzinnym

W Małaszewiczach mieszkalam aż do końca szkoły średniej. Gdy po maturze wyjechałam na studia, już tylko wracałam tam, aby odwiedzić rodziców, starsze rodzeństwo już dawno było na swoim. Moja mama umarła, gdy miałam 22 lata, wtedy ojciec się wyprowadził, żeniąc się ponownie. Nie było do czego wracać. Ponownie pojechałam tam dopiero w 1980 roku, wtedy od kilku lat mieszkalam w Złotorii. Gdy robiłam pamiętkowe zdjęcia miejsca mojego dzieciństwa, tzy leciały mi grochem po twarzy. Stwierdziłam, że nic a nic tu się nie zmieniło. Budynek nadal stoi, tylko domu rodzinnego już jakby nie ma.

 Agnieszka Młyńczak

## A na weekend Sokołowsko...



W XIX w. panowała moda na wyjazdy „do wód”, które w zaskakująco szybkim tempie otrzymywały status uzdrowisk na mocy obowiązującego prawa. Zaczęto propagować leczenie klimatyczne chociażby takich chorób, jak gruźlica. Na tego typu kuracje oczywiście mogli sobie pozwolić ludzie majątni. Byli na tyle dobrze sytuowani, że mogli latem wyjeżdżać wraz z rodzinami i ze służbą z zatłoczonych miast na kuracje. Wizyty w „letniskach” były też formami odpoczynku i zabawy. Warto podkreślić, że w II połowie XIX i początkach XX w. przy uzdrowiskach zaczęły powstawać załazki turystyki pieszej oraz rowerowej, uprawianej jednak przez nieliczną grupę kuracjuszy.

Fenomen Sokołowska (Görbersdorf) zapewne związany był z rosnącą popularnością i znaczeniem uzdrowisk w Europie Zachodniej. Niemieckie społeczeństwo wyższych warstw, świadome swojego pochodzenia, nie chciało odbiegać od standardów europejskich. W Rzeszy Niemieckiej w omawianym okresie (w II połowie XIX w.) występowały bogate źródła wód mineralnych, które potwierdzone były przez wielu naukowców. Do tego dochodzi wzrastająca świadomość dbania o zdrowie i tężyznę fizyczną. Wspomniane wody mineralne i w końcu sam klimat dały szansę rozwoju górskich i podgórszych uzdrowisk niemieckich. Stały się dla ich mieszkańców źródłem dochodu. Z biegiem czasu kuracjom, letnikom wynajmowano chaty, mieszkania, dostarczano produkty spożywcze. Dzięki temu kuracjusze niemieccy mogli zakosztować kultury obecnie naszego regionu. Mogli w końcu odkrywać naturę oraz poznawać inne grupy społeczne. Dziś zabiorę Państwa do wspomnianego Sokołowska. Wieś jest położona w województwie dolnośląskim, w po-

wiecie wałbrzyskim, w gminie Mieroszów, w Górach Suchych w Sudetach Środkowych. Bohaterem całego zamieszania uzdrowiskowego był doktor Hermann Brehmer.

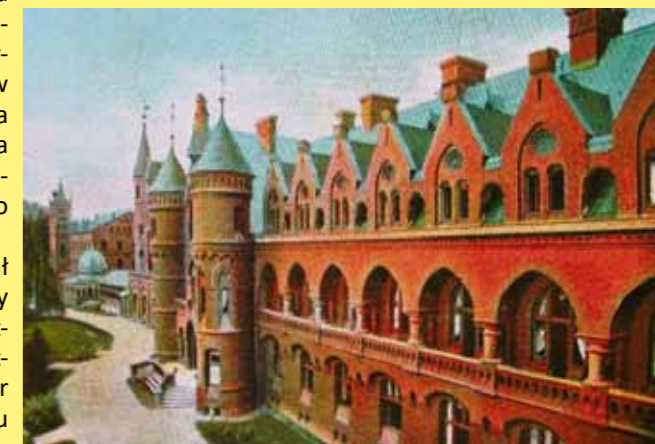
Hermann Brehmer urodził się w 1826 r. w okolicach Strzelina, jako syn urzędnika dworskiego. Nauki pobierał we wrocławskich szkołach. Natomiast w 1847 r. rozpoczął studia matematyczne i przyrodnicze oczywiście na Uniwersytecie Wrocławskim. Niestety ze względu na udział w wydarzeniach Wiosny Ludów musiał opuścić niemiecki wtedy Wrocław. Po przykrych wydarzeniach postanowił odwiedzić liczne uzdrowiska, m.in. Gräfonberg, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, która była siostrą słynnej Marii von Colomb. Udał się następnie do Berlina, gdzie poznał znanego w Europie przyrodnika Aleksandra Humboldta. W stolicy państwa pruskiego podjął początkowo studia z zakresu botaniki, a dopiero później medycyny.

W 1853 r. Brehmer doktoryzował się na podstawie pracy pod tytułem „Ueber die Entstehung und das Fortschreiten der Tuberkuloze der Lungen”. Od roku 1854 do roku 1858, wspólnie z siostrą żony prowadził zakład przyrodolecznicy w Görbersdorfie. W roku 1859 uzyskał od rządu pruskiego koncesję na prowadzenie według własnej metody zakładu leczniczego dla chorych na płuca. Zwracał uwagę na to, że wysoka temperatura i południowy klimat są zdecydowanie niekorzystne dla płuc. Natomiast pozytywną rolę pełni wzniesienie nad poziom morza. W swojej praktyce kładł nacisk na leczenie poprzez krysta-

liczne powietrze. Kuracja zakładała wiele ruchu na świeżym powietrzu, również na stosowaniu specjalnych ćwiczeń oddechowych. Równie istotne było odpowiednie i obfite wyżywienie, obejmujące spożywanie, obok mięsa, także dużych ilości jarzyn i oczywiście owoców. Posiłki powinny być podawane w regularnych odstępach czasu, pięć razy dziennie. Niektórym chorym zalecano natryski z zimnej wody – od 3 do 8 stopni Celsjusza – połączone z rozgrzewającym nacieraniem. Kuracja mogła się odbywać przez cały rok, a wszystkie zabiegi dostosowywano do potrzeb pacjenta, który znajdował się pod stałym nadzorem lekarza.

Wkrótce po uzyskaniu odpowiednich zezwoleń lekarz przystąpił do szeregu zakrojonych prac budowlanych, mających na celu rozbudowę niewielkiego zakładu hydroterapeutycznego. W roku 1862 wzniesiono pierwsze budynki: kuracyjny oraz pensjonaty „Weisse Haus” i „Villa Rosa”. Równocześnie trwały prace nad uporządkowaniem otaczającego zakładu terenu – powstał park leśny i zabudowania gospodarcze. Projektantem budowli był znany architekt Edwin Oppler. Natomiast założenie parkowe było dziełem samego doktora.

W połowie lat 70-tych XIX w. do starej części domu kuracyjnego dobudowano mieszkanie doktora Brehmera, ogród zimowy, bibliotekę i wysmukłą wieżę. W końcu lat 70-tych XIX w. wzniesiono tzw. „Nowy Kurhaus”, przylegający



do starego od strony wschodniej. Wszystkie te budowle wzniesione zostały według projektów wspomnianego wyżej E. Opplera. W roku 1882 przebudowano wnętrza całego zakładu modernizując urządzenia higieniczne, ogrzewanie oraz klimatyzację. Dla gości zakładu leczniczego Brehmera przygotowano aż 303 pokoje!!! Wkrótce po założeniu


za współczesną lodówkę. Zakład szedł ciągle z technicznym postępowaniem. W 1899 r. zakład otrzymał oświetlenie elektryczne. W pierwszych 26 latach istnienia zakład przyjął aż 5800 pacjentów! Dla urozmaicenia wolnego czasu kuracjuszy założono bibliotekę. W zakładzie odbywały się również przedstawienia teatralne, koncerty i liczne odczyty. Warto dodać, że od 1888 r. pacjenci ze Skandynawii zaczęli propagować w Görbersdorfie narciarstwo, uprawiane szczególnie aktywnie w latach trzydziestych XX w., kiedy to wybudowano skocznię narciarską.

Po 1918 r., kiedy to znaczenie sanatoriów przeciwgruźliczych zaczęło spadać, oraz gdy renomę zaczęły zdobywać inne miejscowości, jak na przykład Davos, uzdrowisko zostało przekształcone w stację klimatyczną oraz w ośrodek sportów zimowych.

W okresie II wojny światowej miejscowość nie odniosła zniszczeń i jeszcze kilka lat po wojnie sanatorium Brehmera był czynne. Na skutek braku remontów już w latach 50-tych główny budynek, zwany „Grunwaldem”, przestał być wykorzystywany i popadł w ruinę. Pod koniec lat 70-tych najs-

tarsza część sanatorium została rozebrana. Dewastacji uległ również park zdrojowy z licznymi altanami. Zniszczone zostały wszystkie pawilony parkowe. Rozebrano także wiele innych budynków. W tych samych latach rozbudowano sportową infrastrukturę i w ten sposób powstała dwukilometrowa rolkostrada oraz - na zboczu Średniaka (782 m) - dwa wyciągi narciarskie. Po 1945 r. nazwę Görbersdorf zamieniono na Sokołowsko. W ten sposób uczczono pamięć innego doktora - Alfreda Sokołowskiego. Ten z kolei przez sześć lat pełnił obowiązki głównego asystenta doktora Brehmera.

Zapraszam zatem do Sokołowska, wśród starych drzew i opuszczonych budynków byłego sanatorium można jeszcze usłyszeć gwar i rozmowy dawnych kuracjuszy i gości. Ja słyszałem 😊😊😊

 **Tomasz Szymaniak**

Bibliografia:  
1. M. Bogucka, Dzieje kultury polskiej do 1918 r., Warszawa 1918.  
<https://www.sokolowsko.org/pl/sokolowsko>  
<https://pl.wikipedia.org/wiki/Soko%C5%82owsko>



zakład doktora stał się niezwykle popularny w całej Europie, o czym świadczą liczne przewodniki po Görbersdorfie, wydawane także w Budapeszcie, Zurichu, Paryżu, Wiedniu, Petersburgu i Warszawie. Największy napływ gości miał miejsce na przełomie XIX i XX w. W roku 1872 zakład przyjął 396 osób, w tym 25 gości z ziem polskich. Rok później natomiast 706 osób, w tym 110 z Polski. W 1889 roku w miejscowości powstały dwa dalsze zakłady lecznicze. Już w latach 70-tych liczba chętnych przekraczała możliwości zakładu leczniczego doktora Brehmera. Na początku XX w. miejscowość była przygotowana na przyjęcie około tysiąca kuracjuszy. W 1885 r. przy domu kuracyjnym wzniesiono tzw. ogród zimowy, wkrótce dla licznie przyjeżdżającej do uzdrowiska elity rosyjskiej wybudowano w parku kaplicę obrządku prawosławnego. W 1902 r. pomiędzy domem kuracyjnym a tak zwaną „Turmvilla” (dawną restauracją „Bellevue”) wybudowano dużą jadłodajnię. W 1887 r. wzniesiono wielką, zadaszoną leżakownię dla kuracjuszy. W 1898 r., bezpośrednio obok domu zdrojowego powstała duża lodownia, która mieściła 300 metrów sześciennych lodu, a ta z kolei służyła

**Dymary i dymarki**



Trzeci od prawej Paweł Wollny

Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych powstało w 1999 r. Kojarzone jest przede wszystkim z Dymarkami Kaczawskimi i Dymarkami Edukacyjnymi w Leszczynie, tamtejszym Skansenem Górniczym, Barbórkami w Złotoryi, kilkanaście wydawnictwami oraz wybiciem okolicznościowych, pamiątkowych monet. Jak niestety wiele podobnych organizacji społecznych, i ZTTG ma nadzieję na lepsze czasy, nie tylko z powodu pandemii koronawirusa.

Czy do historii przeszły również menniczne tradycje ZTTG? Może menniczny warsztat nie tylko będzie eksponatem w Izbie Tradycji Górniczych w Leszczynie? Przecież dymary i dymarki wciąż są poszukiwane przez kolekcjonerów i żadna inna złotoryjska organizacja w taki sposób nie uświetniała swoich imprez i nie budowała oryginalnej tradycji. Dymarkowi mennicy za każdym razem byli oblegani wszędzie tam, gdzie się pojawili.

Pomysł wybijania pamiątkowych monet z miedzi zgłosił już w 1999 r. prezes

ZTTG Andrzej Kowalski. Pierwszy warsztat menniczny ruszył podczas I Dymarek Kaczawskich w 2000 r., ostatni duży dymar – 10 – ma datę 2009 r. Natomiast małe dymarki wybijano najprawdopodobniej aż do 2017 r.

Awers i rewers zaprojektował Paweł Wollny (zm. 2007 r.) i zgodnie z regionalną specyfiką na rewersie znalazł się stylizowany średniowieczny piec hutniczy w trakcie wytopu, herb Złotoryi, skrzyżowane narzędzia górnicze (młotek i oskard) oraz - w otoku - pełna nazwa organizacji. Na awersie widzimy liść laurowy (w 2000 r. jeden, od następnego roku dwa), słowo dymar (lub dymary, majuskułą), corocznie pojawiała się także na awersie kolejna cyfra (od 1 do 10) oraz kolejna data roczna. Wygrawowanie rysunku zawdzięczamy legnickiemu grawerowi Zenonowi Doleckiemu. Matryce i przyrząd do bicia monet wykonał Janusz Burek.

Wszystkie duże dymary mają średnicę 4 cm. Większość wykonywana była

z blachy miedzianej, zdobywanej w hucie miedzi w Legnicy. Przekształcał ją w gotowe dymary warsztat Kazimierza i Cezarego Kwaśniowskich w Wilkowie. Duże miedziane monety miały różną grubość – od 4 do 1 mm, przy czym grubością różniły się monety tej samej "wartości". Znany jest również duży dymar z 2000 r., wykonany z aluminium, o grubości 4,4 mm.

Małe dymarki wykonywano zarówno z cienkiej blachy miedzianej, jak z aluminium. Miały średnicę 2,3-2,5 cm, ale pojawia się także miedziany dymarek z 2000 r. o średnicy 1,1 cm. Od 2000 r. do 2009 r. wszystkie małe dymarki miały na awersie takie same motywy: dwa liście laurowe, napis "1 dymarek" oraz skrzyżowane młotki górnicze. Nie ma więc np. "3 dymarków" z 2002 r. Znaleźliśmy natomiast kilka inaczej wyglądających rewersów: 1) piec hutniczy, herb miasta i pełna nazwa ZTTG (prawdopodobnie z 2000 r.), 2) piec hutniczy, ZTTG (skrót), 3) herb Złotoryi, napis Dymarki Kaczawskie - majuskułą, 4) 1211-2011 800 lat Złotoryi, 5) dwa wapiennicze piece z centrum skansenu oraz napis Dymarki Kaczawskie – majuskułą, 6) stylizowany szyb kopalniany z kołem wyciągowym, napis Dymarki Kaczawskie (majuskułą) oraz data 2004, 7) uproszczona sylwetka biegacza, napis Bieg Wulkanów 18-19.06. 2011 Złotoryja. Uchwytne są więc jedynie trzy datowane emisje dymarków: 2000 r., 2004 r. i 2011 r. Małe dymarki można było wybijać własnoręcznie, instrukcji zainteresowanym udzielał mennicy.

W 2000 r. zarząd ZTTG powołał menników: głównym został Janusz Burek (zm. 2019 r.), jego pierwszym pomocnikiem Zbigniew Szybiak, drugim Cezary Stec. Dwaj pierwsi stanowić będą nieodłączną parę przy warsztacie mennicznym. Wszyscy występowali w strojach, wzorowanych na górniczych i hutniczych ubiorach, przedstawianych na rycinach Agricoli. Pierwsze projekty strojów po-



Janusz Burek



Mennik



Od lewej - J. Burek, Z. Szybiak, C. Stec



Pierwszy z lewej Zbigniew Szybiak, trzeci Janusz Burek.



Przy mennicy biskup Stefan Cichy.



wstały w pracowni Teatru im. Modrzewskiej w Legnicy. Kolejne stroje szyła pracownia krawiecka przy Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Złotoryi, nad czym czuwała Anna Kowalska.

Mennica ZTTG funkcjonowała nie tylko w Leszczynie – pojawiała się w Legnicy podczas tamtejszych Dni Miasta, na festynach górniczych w Lubinie, podczas Wojcieszowskich Wypałów w 2002 r. i

Lwóweckiego Agatowego Lata, nawet w pałacu prezydenckim, gdy ZTTG zajęło I miejsce w konkursie "Sposób na sukces", zorganizowanym przez marszałka województwa.

Bardzo dziękujemy Irenie Burek i Andrzejowi Kowalskiemu za informacje oraz pamiętki, dotyczące tematu.

Roman Gorzkowski



## Zaproszenie

Towarzystwo  
Miłośników  
Ziemi  
Złotoryjskiej  
serdecznie  
zaprasza  
na uroczyste  
odsłonięcie  
Obelisku Ludzkiego  
Przemijania -  
19 kwietnia  
2022 r.

o godz. 12.00  
przy kościele  
św. Mikołaja.

## Kącik starej widokówki



## Nareszcie znika stary plac!

Proszę zobaczyć jak pusty jest plac Władysława Reymonta! Ta ogromna ciężarówka przyjechała z pewnością po to, aby zbierać gruz oraz wywieźć pomnik pisarza, którego nigdy z miastem nic nie łączyło. Nawet już postawiono znak zakazu wjazdu. Wypada zakrzyknąć – zostawcie tylko drzewa i budynek domu kultury, a reszta ma zniknąć!

Niestety, nie jest to jednak aktualny wi-

dok, a widokówka z 1970 r. z fotografią J. Osuchowskiego. Z czasów, gdy wewnątrz gmachu funkcjonował Powiatowy Dom Kultury (P.D.K.). Uplłynęło już ponad pół wieku, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Wszak doczekaliśmy usunięcia pomnika Wojska Polskiego oraz grzybka!

Roman Gorzkowski

## Życie Złotoryi

ORGAN POWIATOWEGO KOMITETU FRONTU NARODOWEGO

### apeluje

Do młodzieży powiatu złotoryjskiego! Drodzy towarzysze, koleżdy i koleżanki! Nadszedł dla nas okres, który wzywa do nowych, wielkich czynów. Cała młodzież polska przygotowuje się do II Zjazdu Związku Młodzieży Polskiej. Setki tysięcy młodzieży z miast i wsi stanęło do czynu zjazdowego. Napływają meldunki o coraz to nowych zobowiązaniach podejmowanych dla uczczenia II Zjazdu ZMP. W tych dniach radości nie powinno zabraknąć ani jednego chłopca i dziewczyny na froncie zobowiązań przedzjazdowych. Niech rozwinie się powszechny czyn produkcyjny młodzieży, czyn każdego z nas, młodego patrioty, budowniczego Polski Ludowej. Niech nasza nauka i praca będzie lepsza, wydajniejsza. Niech dzięki niej szybciej rośnie i potężnieje nasza ukochana Ojczyzna, szybciej wzrasta dobrobyt naszego narodu. Takie zadania stawia przed nami Partia, która prowadzi nasz naród do nowych zwycięstw – do socjalizmu. Niech każdy chłopiec i dziewczyna postawi przed sobą pytanie: - co zrobię w czynie przedzjazdowym – czym przywitam II Zjazd ZMP? Niech w wielkim dorobku młodzieży polskiej będzie i mój wkład, wkład moich rąk, serca i umysłu. Równajmy do najlepszych. Jeszcze mocniej zewrzyjmy nasze szeregi. W górę bojowe sztandary zwycięstw, niech mocniej zabrmi nasza pieśń – pieśń radości, walki i pracy dla dobra Ojczyzny. Pod sztandarem ZMP, drogą, którą wskazuje nam Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – naprzód do nowych zwycięstw!

31 października 1954

## Warto przeczytać

Geopark Kraina Wygasłych Wulkanów chroni i promuje przede wszystkim unikatowe w Polsce i Europie dziedzictwo geologiczne. Jak pisze we wstępie Agata Rudnicka, Prezes Stowarzyszenia Kaczawskiego które wydało album: na tej niespotykanej mozaice geologicznej powstały różnorodne siedliska przyrodnicze, a wielowątkowa historia Dolnego Śląska pozostawiła po sobie pamiętki w postaci zamków, grodzisk, świątyń, kamiennych krzyży, pomników czy pałaców. W sennych dolinach rozgościły się wsie łańcuchówki, na wzgórzach zaś malownicze miasta. Album zawiera ponad osiemdziesiąt fotografii, wykonanych przez Joannę Czajkę, Wawrzyńca Dąbrowskiego, Łukasza Dębickiego, Małgorzatę Dubrowską, Barbarę Dziewałtowską, Marka Janasa, Paulinę Jarosz, Gabrielę Męczyńską, Piotra Migonia, Zbigniewa Mosonia, Bożenę Pawłowską, Alicję Radomską, Marzenę Szkutnik, Joel Śluczkę i Joannę Ziętałak. Już na okładce widzimy rysunek mauzoleum Hochbergów w Prusicach, w którym urządzona została Izba Pamięci, a wewnątrz książki zdjęcia m. in. zabytków Brennika, Grodzca, Kondratowa, Leszczyny, Nowego Kościoła, Lubiechowej, Nowej Wsi Grodzkiej, Pielgrzymki, Płoniny, Podgórek, Rządnicy, Sędziszowej, Sokółowa, Świerzawy, Twardocic, Wojcieszowa, Wojcieszyna, Zagrodna i Złotoryi.

Roman Gorzkowski

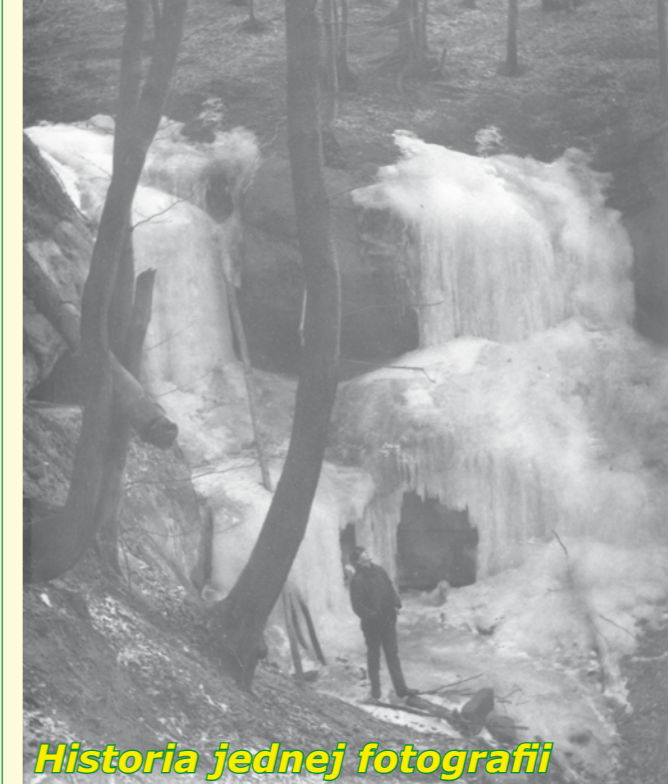
## Geopark Kultury

### Dziedzictwo kulturowe Krainy Wygasłych Wulkanów

Geopark of culture  
Cultural heritage of the Land of Extinct Volcanoes



## Przyszła wiosna, wonna i...!



## Historia jednej fotografii

Z przepastnych archiwów TMZZ wydobyliśmy tym razem zimowo-wiosenną fotografię, wykonaną najprawdopodobniej w najbliższych okolicach miasta. Prosimy czytelników o zlokalizowanie tego miejsca, które już coraz rzadziej tak wygląda, bo ostre mrozy stają się tylko wspomnieniem. Dla ułatwienia podajmy, że przechodzi tamtędy jeden ze znakowanych pieszych szlaków turystycznych.

Roman Gorzkowski

# Dobrze zainwestowany 1% Twojego podatku



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej  
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

ECHO  
ZŁOTORYI



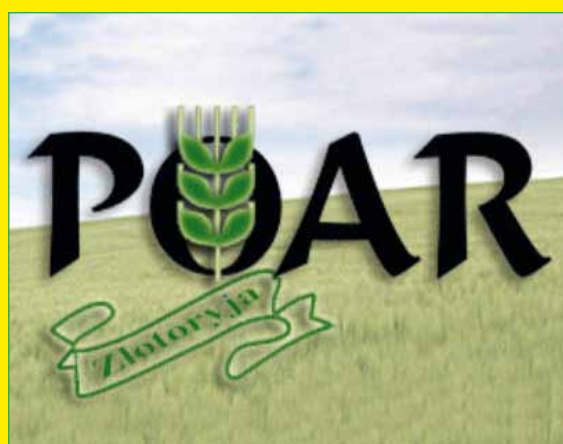
- ✓ Koło Kresowian
- ✓ Klub Kolekcjonera
- ✓ Echo Złotoryi
- ✓ Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Złotoryjski Klub Fotograficzny
- ✓ Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- ✓ Księgarnia Internetowa

## GALERIA SPONSORÓW



**lena**  
Wilków Spółka z o.o.

**PRODUCENT**  
konstrukcji stalowych  
aparatury i urządzeń technologicznych  
w tym dla ochrony środowiska  
tymczasowych stacji paliw  
elementów złącznych hydrauliki siłowej  
sprzętu transportowego dla górnictwa  
[www.lena.com.pl](http://www.lena.com.pl)  
[lenawilkow@lena.com.pl](mailto:lenawilkow@lena.com.pl)  
tel. +48 768783 480, fax +48 76 8783 212



**grysy bazaltowe**



- \* płukanki
- \* kolorowe
- \* posypki
- \* mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL  
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

**Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**  
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), [www.tmzz.pl](http://www.tmzz.pl), e-mail: [echozlotoryi@tmzz.pl](mailto:echozlotoryi@tmzz.pl)

**Redakcja:** Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młynczak, Krystyna Rybicka i Bogusław Cetera (dystrybucja), Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Joanna Siembida, Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.  
Grafika na okładce: Serce wykonane przez Gości z Ukrainy (LO).

ECHO  
ZŁOTORYI



Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

